



Dixie Browning



Skradzione serce

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zbliżał się do ostatecznego celu. Odczuwał to każdym nerwem umęczonego ciała. Zdjąwszy jedną rękę z kierownicy, Joe Dana dotknął czoła w miejscu, gdzie najbardziej bolała go głowa. O dziesiątej tego mglistego lipcowego poranka zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pojechać do jakiegoś hotelu, żeby wziąć upragniony prysznic i przespać się parę godzin. Oparł się jednak pokusie. Był już zbyt blisko celu. Po pięciu tygodniach uciążliwych poszukiwań i braku snu marzył teraz tylko o jednym. Załatwić wreszcie sprawę i wrócić do domu.

Przez ostatnie pięć tygodni spotykał tylu małomiasteczkowych gliniarzy, że na dłuższy czas będzie miał ich dość. Potrafi także obejść się bez oglądania porzuconych i bardzo rozgoryczonych kobiet, wylewających przed nim swoje żale.

Ponownie ziewnął. Roztaczał wokół siebie zapach potu, a jego nieświeży oddech był spowodowany byle jakim jedzeniem w przydrożnych barach szybkiej obsługi. Gdy tylko skończy tę sprawę, pójdzie do najlepszego hotelu w mieście, zrobi sobie kąpiel i przez parę godzin będzie się moczył w gorącej wodzie. Kaze wyczyścić sobie buty i uprać bieliznę. Następnie zamówi wielki stek z furą frytek i dzbanek mleka, a na deser solidną porcję lodów.

A potem padnie na łóżko i będzie spał przez cały tydzień.

Zerknął na świstek papieru leżący na drugim siedzeniu. Z notatki wynikało, że aby dostać się do domu niejakej pani Bayard, musi zjechać w prawo z szosy numer 158 w pierwszą zwirową drogę za Frenchman's Creek, a potem minąć po lewej zamieszkaną przyczepę, a po prawej stodołę. Niecałe

dwa kilometry dalej powinien znaleźć skrzynkę pocztową przymocowaną do palika.

– Bez trudu pan tam trafi – oświadczył zastępca szeryfa. – To ostatnia posesja. Dalej drogi nie zwirowano. Czy ta kobieta jest poszukiwana przez policję? Zanim przed paroma miesiącami osiedliła się u nas, w okręgu Davie, podobno pracowała w mieście w jakimś banku. Zaraz po przyjeździe wezwała nas do siebie. Chodziło jej o wypłoszenie szopa ze strychu. Wydawała mi się sympatyczna, ale jaka jest naprawdę, trudno zgadnąć. W dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo.

To fakt, przyznał Joe. Nigdy nic nie wiadomo. Nie miał pojęcia, czy Sophie Bayard była szefem i mózgiem organizacji, o ile taka w ogóle istniała, czy też kolejną z długiej listy ofiar poszkodowanych przez tylko jednego człowieka.

Jedno Joe Dana wiedział na pewno. W czasopiśmie przeznaczonym dla antykwariuszy i handlarzy dziełami sztuki niejaka pani Bayard zamieściła opis bezcennej wazy z nefrytu, wystawiając ją na sprzedaż. Waza ta stanowiła fragment chińskiej kolekcji, której losy Joe Dana starał się odtworzyć od samego Dallas. Na jej ślad natrafił w Amarillo. Trop zgubiony w Guymon odnalazł w Tulsie. Stamtąd tropił kolekcję, przemierzając ogromne połacie kraju. W drodze do Północnej Karoliny odwiedził wszystkie lombardy, każdy komisariat miejscowej policji i usłyszał więcej smutnych historii uwiedzionych, okradzionych i porzuconych kobiet niż jakikolwiek inny gliniarz w całym swoim długim życiu.

Teraz kierowała nim intuicja. Przeczucie, że wreszcie dotrze do upragnionego celu. Może był to wyłącznie skutek zbyt wielu hot dogów zjedzonych po drodze. Nadmierną liczbę godzin spędzonych za kierownicą

przyplącił bólem głowy. Od długiej, nieprzerwanej jazdy rozboleło go również kontuzjowane kolano.

Joe Dana wiedział z doświadczenia, że w takich chwilach jak ta, kiedy był wykończony, nagle zaczynało dopisywać mu szczęście. Gdy leżał nieruchomy jak kłoda na szpitalnym łóżku, uzmysłowił sobie jedną piekielnie ważną rzecz, którą przeoczyli, prowadząc śledztwo w sprawie Draytona. Kiedy tylko stanął na nogi, poszedł tym tropem i udało mu się szczęśliwie zakończyć całą sprawę. Wszyscy trzej bracia zostali osądzeni i skazani. Znaleźli się za kratkami, a w jego papierach towarzyszących podaniu o wcześniejszą emeryturę znalazła się jeszcze jedna pochwała.

Joe znów ziewnął. Wjechał z pobocza na szosę i zaraz potem skręcił w prawo w żwirową drogę. Mniej więcej półtora kilometra dalej zatrzymał się na zarośniętym chwastami podjeździe.

Dom, przed którym stanął, nie różnił się niczym od setek starych farmerskich siedzib. Cztery pokoje na górze i cztery na dole.

Cała posesja tonęła w zieleni. Przed oknami znajdowały się kwiatowe rabaty. Po obu stronach werandy po drewnianej kracie pięła się dorodna winorośl. Bez względu na to, kim była, oszustką czy nie, ta kobieta lubiła rośliny.

Joe Dana zaparkował furgonetkę i wysiadł. Zesztywniały i obolały, zrobił parę kroków. Zanim doszedł do frontowych drzwi, nabrał przekonania, że dom jest pusty. Na wszelki wypadek jednak zapukał do drzwi. Zapukał dwukrotnie i czekał.

I tym razem nie zawiódł go instynkt. W domu nie było nikogo. Joe opuścił werandę i poszedł do tylnego wejścia. Nie zamierzał włamywać się ani wdzierać do cudzego domu, ale gdyby okazało się, że drzwi od podwórza przypadkiem stoją otworem...

I właśnie w tej chwili zobaczył tę kobietę. Przystanął i zza ogrodzenia zaczął się jej przyglądać.

Na pierwszy rzut oka robiła wrażenie potężnie zbudowanej. Potem zauważył, że jest blondynką. Naturalną, bo nie miała odrostów. A jeszcze później dotarło do niego, że z tą kobietą dzieje się coś złego.

Taka niezwykła kolejność postrzegania faktów musiała być skutkiem nieludzkiego przemęczenia. W przeciwnym razie Joe byłby już przy niej, a może nawet stosowałby sztuczne oddychanie.

Leżała w ogrodzie na gołej, twardej ziemi. Na plecach, na tyle płasko, na ile pozwalał na to jej stan, otoczona grządkami warzyw. Miała zgięte kolana. Na jednym z nich tkwił ogromny kapelusz z miękkim rondem, przyozdobiony kwiatem słonecznika. Pod lewym łokciem kobiety znajdowała się kępka świeżo wyrwanych chwastów.

Nieznajoma miała czerwoną twarz, jakby rozpaloną od gorączki lub zbyt długiego przebywania na słońcu.

Czyżby udar słoneczny? zastanawiał się Joe. Było to prawdopodobne, gdyż upał był ogromny i powietrze miało dużą wilgotność. Kobieta leżała bez ruchu. Z zamkniętymi oczyma.

Obie jej dłonie spoczywały na czubku ogromnego brzucha, który sprawiał, że spódnica prawie nie sięgała ud.

Były długie, umięśnione i opalone.

Przydały się lata treningu. Joe przeszedł na drugą stronę ogrodzenia. Zastanawiał się, co mogło stać się kobiecie, która wyglądała tak, jakby co najmniej od roku była w ciąży. Przyklęknął ostrożnie na swym jedynym sprawnym kolanie i sięgnął do jej ręki, żeby sprawdzić puls, gdy nagle kobieta otworzyła oczy i obdarzyła go uśmiechem.

Aż go zatkało z wrażenia. Mimo stanu, w jakim się znajdowała, uśmiech miała ciepły i jakby rozmarzony.

– Czy my się znamy? – spytała cicho.

– Jak się pani czuje?

Nie zważając na twarde, kamienisty grunt, uklęknął na obu kolanach. Sprawa wazy Ch'ien Lung ciągnęła się od tak dawna, że uznał, iż nic się nie stanie, jeśli jeszcze poczeka parę minut dłużej.

– Sama nie wiem. – Głos kobiety, podobnie jak uśmiech, był ciepły i rozmarzony. A ponadto, ku zdumieniu Joego, pełen słodczy.

– Pani tu sobie tak... leży? – zapytał niepewnym tonem, zamiast po prostu powiedzieć: Co pani, do diabła, wyczynia, leżąc w tym stanie na gołej ziemi?

– Rozbolał mnie kręgosłup – wyjaśniła. – Wrywałam chwasty na grządkach, lecz zrobiło się okropnie gorąco i musiałam odpocząć. Kim pan właściwie jest? Jeśli chce pan coś sprzedać, to trafił pan pod niewłaściwy adres. A jeżeli przyjechał pan w związku z moim samochodem, to pańska wizyta była zbyteczna. Sprawa już została wyjaśniona. Dzwonili z warsztatu. Wóz odbiorę w poniedziałek.

– Niczym nie handluję i nic nie wiem o pani samochodzie – wyjaśnił Joe.

– Jeśli mam do czynienia z panią Sophie Bayard, to chciałbym...

– Proszę, niech pan pomoże mi się podnieść. Ostatnio zrobiłam się ogromnie niezdarna. Pójdę do domu i naleję nam mrożonej herbaty. Koszmarny upał, prawda? Jak pan właściwie się nazywa?

– Joe Dana. Proszę pani, chciałbym...

Do jednej ręki wzięła kapelusz zdjęty z kolana, a drugą wyciągnęła do Joego. Obie były ubrudzone i pozbawione jakichkolwiek ozdób, co, oczywiście, o niczym nie świadczyło.

– Tylko proszę uważać – ostrzegła. – Ważę tyle co słoń.

Rzeczywiście była duża. Grubokoścista. A na dodatek nosiła w sobie dodatkowy ciężar. Jej wielki, spiczasty brzuch wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować.

Joe zatrzymał wzrok na potężnych piersiach, a potem szybko odwrócił głowę. To zdumiewające, pomyślał, że do tej pory nigdy nie zauważył, jak pociągająco może wyglądać kobieta będąca w ciąży.

Bez większego trudu pomógł jej się podnieść. Kontuzjowane kolano ucierpiało przy tym niewiele. Kobieta była spocona, zakurzona i pachniała cebulą, przy której akurat pracowała, ale pod tą warstwą Joe wyczuwał inny zapach, miło drażniący nozdrza. Mieszaninę mydła i rozgrzanych słońcem ziół. Joe był człowiekiem bardzo spostrzegawczym. Wielokrotnie jego życie zależało od takich właśnie drobnych, pozornie nic nie znaczących szczegółów.

Przez chwilę Sophie Bayard opierała się o niego, co sprawiło mu przyjemność. Zaraz jednak pomógł jej się wyprostować, a sam cofnął się o krok. Zbyt bliskie kontakty z nieprzyjacielem nigdy nikomu nie wychodziły na dobre. Miały mu tylko ułatwić załatwienie tego, po co przyjechał. Ale to, niestety, nie wydawało mu się teraz tak łatwe, jak wówczas, gdy po raz pierwszy wpadł na ten ślad.

– Jak pani się czuje? – zapytał. – Kręci się pani w głowie?

– Nie. Tylko boli mnie kręgosłup. Ja...

Sophie cofnęła się nieznacznie.

Na jej twarzy Joe zobaczył zaskoczenie. Przez cały czas uważnie ją obserwował. Na wszelki wypadek. Doszukiwał się śladu poczucia winy. Wstydu. Strachu. Sam nie wiedział, czego. W każdym razie jedno było pewne. Ta kobieta już mu nie ucieknie. W jej stanie było to niemożliwe.

Przymrużył oczy.

– O co chodzi? – zapytał.

– Zrobiło mi się ciepło. I mokro. Och, dzieje się ze mną coś dziwnego.

Oczy Sophie Bayard stały się nagle duże i okrągłe. Dopiero teraz Joe po raz pierwszy dostrzegł ich barwę. Były szare z odrobiną zieleni.

– Złapały panią skurcze? Gdzie? W nodze? Zabolał kręgosłup? – O rany, jęknął w duchu, tylko nie zacznij mi tu rodzić! Jeszcze to byłoby mi teraz do szczęścia potrzebne!

– Zmoczyłam bieliznę – wyznała speszona. – Och! Jeszcze cieknie.

Joe zaklął pod nosem.

– Właśnie odeszły pani wody – wyjaśnił, robiąc skrzywioną minę. – Kiedy wypada termin porodu?

– Wody?

– Tak. Wody. Czy nic pani nie wie?

– Chodzi panu o rodzenie? Jeszcze nigdy tego nie robiłam, ale chodziłam na wykłady. I czytałam różne broszury na ten temat, ale... To wszystko jest takie krępujące!

Nie było rady. Joe uznał, że nadeszła pora, aby wziął sprawy w swoje ręce. I zaczął działać.

– Najpierw musi pani dostać się do domu – oznajmił spokojnym tonem.

Zajęczała. Na razie chyba tylko ze strachu. Ale kto wie? Nie znał się na rodzeniu dzieci aż tak dobrze.

– Czy może pani iść o własnych siłach? – zapytał po chwili. – Jeśli trzeba, wniosę panią do domu, ale podobno kobietom w tym stanie dobrze robi chodzenie.

Miał nadzieję, że to prawda. Gdyby miał wziąć ją na ręce, pewnie oboje zwałiliby się na ziemię między grządkami cebuli i fasolki. Joe był wysoki i solidnie zbudowany, ale zbyt wiele razy postrzelony lub kontuzjowany. Musiał

na siebie uważać, by nie stać się całkowitym inwalidą. Nie było sensu kusić losu.

Wsparta na jego ramieniu, kobieta szła powoli. Miała ładne, delikatne rysy twarzy, lecz mocno zarysowaną szczękę, świadczącą o silnym charakterze. Joemu przyszło do głowy, że z Sophie Bayard może nie pójść mu łatwo.

– Zanim pojedę do szpitala, chcę wziąć prysznic – oświadczyła. – Czy zechce pan stanąć przy drzwiach łazienki, w razie gdybym pana potrzebowała?

– Czy jest sens teraz się myć? – zapytał Joe.

Być może ta kobieta należy do tych, które rodzą na kamieniu.

– Nic mnie nie boli – zapewniła. – Czuję się świetnie. Prawdę powiedziawszy, znacznie lepiej niż ostatnimi czasy.

– To euforia.

– Słucham?

Zanim jednak zdążył wyjaśnić, że czasami, nawet w samym środku sytuacji kryzysowej, człowiek miewa niespodziewany przypływ energii i dobrego samopoczucia, które napędza go niczym nie uzasadnionym optymizmem, Sophie Bayard ruszyła w stronę łazienki.

– Trzy minuty wystarczą? – zapytał, idąc za nią przez hol.

– Muszę umyć włosy. To zajmie mi pięć minut.

– Moja pani, proszę się pospieszyć. Muszę panią wyciągnąć z opresji, a że mam kontuzjowane kolano, więc niech pani nie kusi losu. Rozumiemy się?

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Ujrawszy jej twarz, Joe zapomniał o wielkim brzuchu i brudnych rękach, pachnących cebulą. A także o tym, że ta kobieta próbowała sprzedać należące do jego babki cenne dzieło sztuki, warte ni mniej, ni więcej tylko osiemnaście patyków!

Euforia. Zanim zdołał wyjaśnić Sophie Bayard, co oznacza to słowo, zniknęła w łazience. Słyszał, jak podśpiewuje sobie pod prysznicem. Przypominało to kołysankę.

– Niech pan poda mi butelkę, która stoi na toaletce. Drugie drzwi na lewo! – zawołała, przekrzykując szum wody.

Niezupełnie szum. Odgłosy z łazienki przypominały raczej kapanie wody. Oglądany od środka malowniczy, stary dom stracił swój urok. Była to po prostu waląca się chałupa ze zbutwiałymi podłogami, pourywanymi żaluzjami i zniszczonymi okiennymi witrynami.

Joe odszukał butelkę, o którą prosiła Sophie Bayard. Przy okazji rozejrzał się po sypialni. Tak na wszelki wypadek. Bądź co bądź przybył tu w ściśle określonym celu.

Siedem godzin później, gdy na pusty żołądek pił już piąty kubek kawy, co wcale nie było mu do szczęścia potrzebne, w szpitalnej poczekalni zjawiła się pielęgniarka. Na jej widok Joe podniósł się z miejsca. Podeszła bliżej.

– Czy pan ma na imię Joe?

– Czy już urodziła?

– Jeszcze nie, ale znów chce pana widzieć.

Mimo że wykończony i sfrustrowany, uznał, że zwykła ludzka przyzwoitość nakazuje, aby dał spokój Sophie Bayard aż do porodu. Dopiero wtedy przyprze ją do muru. Szczerze powiedziawszy, nie miał innego wyboru. W domu była zbyt zaaferowana tym, co się działo. W przerwie między jedną falą skurczów a drugą zapytał ją, czy kiedykolwiek słyszała o wazie Ch'ien Lung. A ona na to odparła, że przypomniał jej, iż powinna nakarmić rybkę.

Hodowała złotą rybkę. Kobiety to stuknięte stworzenia, a najgorsze z nich to te roztargnione. Joe przestał liczyć na sensowne odpowiedzi na pytania,

które zadawał Sophie Bayard. Kiedy jeszcze byli w domu, zapytał tylko, czy życzy sobie, aby w jej imieniu do kogoś zadzwonił.

Odpowiedziała twierdząco. Poprosiła, żeby wezwał taksówkę, bo zamiast beczynn timer czekać w domu do ostatniej chwili, wolałaby wcześniej jechać do szpitala. Joe postanowił trzymać się blisko niej, mimo że w stanie, w jakim się znajdowała, i tak by mu nie uciekła.

Kiedy fale bólu zaczęły powtarzać się regularnie co osiem minut, pomógł Sophie Bayard wsiąść do swojej furgonetki. Wraz z walizką z niezbędnymi rzeczami odwiózł ją do okręgowego szpitala.

Tam Sophie Bayard otoczyli natychmiast ludzie w białych i zielonych kitlach. Gdy na sali zaciągnęli zasłony wokół jej łóżka, Joe postawił obok krzesło, usiadł i czekał.

Wreszcie została sama. Mógłby teraz ją przesłuchać, lecz tego nie zrobił. Rozmawiali natomiast na różne inne, luźne tematy. Między innymi o złotej rybce o imieniu Darryl. O upale i suchym lecie. Oraz o ogrodzie, który domagał się deszczu. A kiedy wracały fale skurczów, Joe pozwalał Sophie Bayard z całej siły ścisnąć mu palce i żałował, że nie może dla niej więcej zrobić.

Nie była to jego sprawa, ale uznał, że ta kobieta potrzebuje kogoś, kto by się o nią zatroszczył. Niestety, poza nim w szpitalu nie zjawił się nikt.

– Już niedługo – pocieszał, mając nadzieję, że to prawda.

Był półżywy ze zmęczenia. Nie miał pojęcia, jak długo sam wytrzyma.

– Chyba... zostawiłam otwarte... tylne drzwi – wyszeptała Sophie przez zaciśnięte z bólu zęby.

– Sprawdziłem. Były zamknięte – zapewnił Joe.

Sophie Bayard miała ładne zęby. Nie idealne, lecz białe i równe. Joe usiłował przekonać siebie samego, że ta kobieta nie maczała palców w

prowadzonej przez niego sprawie. W szpitalnej koszuli, mimo paru drobnych zmarszczek przy zewnętrznych kąciakach oczu i kilku na czole, wyglądała niemal jak dziewczynka.

Sophie Bayard posiadała jednak to, po co przyjechał. Była paserką. Przechowywała i sprzedawała skradzione rzeczy. U żadnej z kobiet, z którymi uprzednio rozmawiał, nie natrafił na ślad chińskiej kolekcji. Łajdak, którego tropem podążał Joe, uwodził je, obiecywał małżeństwo, a potem okradał ze wszystkiego i ulatniał się. Pozostawiał biedaczki ogołoczone z wszelkiego dobra i rozwścieczone lub załamane.

Joemu zależało na odnalezieniu bezcennej kolekcji przedmiotów z nefrytu. Wycenionej na półtora miliona dolarów dziewięć lat temu, kiedy zmarł dziadek, a teraz mającej z pewnością jeszcze większą wartość.

Jeśli Sophie Bayard miała jakiś żal do tego łajdaka lub namiętnie go kochała, swoje uczucia potrafiła ukrywać znakomicie.

Kiedy przewieźli ją na salę porodową, Joe wrócił do poczekalni. Miał ochotę wyjść ze szpitala i poszukać sobie hotelu, a potem wrócić za dzień lub dwa, żeby porozmawiać, kiedy Sophie Bayard będzie na to gotowa. Czasu było dużo. Nigdzie się przecież nie wybierała.

Z kuszącego pomysłu jednak zrezygnował. Postanowił zostać w szpitalu i czekać na dalszy rozwój wypadków.

– Czy pan jest ojcem dziecka? – spytała go pielęgniarzka po blisko dwóch godzinach wyczekiwania.

Joe nie miał ochoty wdawać się w szczegóły. Odchrząknął i odparł:

– Ojciec nie mógł tu przybyć. Przyjechałem w zastępstwie. Jak czuje się pani Bayard? Czy już nastąpiło rozwiązanie?

– Urodziła dziewczynkę – oznajmiła pielęgniarka. – Matka i dziecko czują się dobrze. Matkę przeniesiono do pokoju numer 211, gdzie teraz odpoczywa. Czy chce pan zobaczyć dziecko?

Joe nie wiedział, co odpowiedzieć. Oświadczenie, że niemowlaki go nie interesują, wydawało się nie na miejscu, aczkolwiek była to prawda. Parę razy sam musiał odbierać poród, co od czasu do czasu gliniarzom się przydarza. Potem raz złożył młodej matce wizytę, kiedy indziej posłał jakiś datek, ale z reguły nie nawiązywał bliższych kontaktów z ludźmi, z którymi miał do czynienia w pracy zawodowej.

– Jasne – niemal odruchowo odrzekł pielęgniarce.

Szybko uznał, że ktoś przecież powinien powitać na tym świecie małego bachorka.

Kiedy będzie miał z głowy ten obowiązek, pójdzie wreszcie do hotelu i wrzuci na ruszt coś porządnego. Miał już po dziurki w nosie jedzenia z przydrożnych automatów. Czekoladowych batoników, chipsów i orzeszków. Kiedyś powinien zacząć wreszcie zdrowo się odżywiać i rozpocząć sensowne ćwiczenia fizyczne. Może zdobędzie się na to wtedy, kiedy załatwi sprawę babki Emmy i wróci do domu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Szczerze powiedziawszy, niemowlę ładne nie było. Prawie łyse, z czerwoną buźką, tłustymi policzkami i smutnym wzrokiem wyglądało jak ptaszek, który opuścił gniazdko o tydzień przed czasem. Na widok takiego nieszczęsnego stworka człowiekowi robi się przykro.

– Jak się masz, malutka? – szeptem zapytał Joe noworodka, upewniwszy się przedtem, czy ktoś go przypadkiem nie słyszy. Z jednej strony zobaczył tylko parę niemłodych ludzi, którzy przez szybę wlepiali wzrok w tłusciutkiego niemowlaka. Z drugiej stał mężczyzna, który robił miny do innego. – Dałaś mamie w kość.

Uprzytomnił sobie nagle, że opieka nad niemowłkiem będzie bardzo kłopotliwa dla tej kobiety. Czy miała przyjaciół? Rodzinę? I jak by sobie poradziła, gdyby w porę nie pojawił się u niej w domu?

Do tej pory dobrze sobie radziła, szybko dodał w myśli, bo chciał w to wierzyć. Jego zdaniem, Sophie Bayard nie była typem kobiety bezradnej ani znerwicowanej. Sporo dowiedział się o niej, kiedy w przerwach między falami bólów na chwilę się odprężyła i puszczała jego rękę. Musiała nauczyć się o siebie troszczyć, bo życie jej nie rozpieszczało. Wychowywała się w sierocińcu..

Sądził, że Sophie Bayard poradzi sobie z opieką nad córeczką. Jeśli jednak okaże się, że jest jej zbyt ciężko, w każdej chwili może oddać dziecko do adopcji.

Joe postanowił jeszcze trochę poczekać, aż młoda matka nieco odpocznie. Wtedy zapyta ją, jakim cudem weszła w posiadanie cudzej, bezcennej kolekcji, która należała do kobiety mieszkającej w Teksasie. I dlaczego wyprzedawała ten skarb sztuka po sztuce. Będzie miał wówczas

świetną okazję, by się dowiedzieć, co łączyło Sophie Bayard z łajdakiem, który, przemierzając kraj, oszukiwał i okradał naiwne kobiety. Z kanciarzem i matrymonialnym oszustem.

Był pewny, że uzyska odpowiedzi na nurtujące go pytania. Znakomicie umiał przesłuchiwać podejrzanych. Nie bez powodu, kiedy był jeszcze w służbie czynnej policji, nazywano go Inkwizytorem przez duże „i”.

Joe oparł dłoń na szybie okalającej salę noworodków i szepnął:

– Życie, dziecino, to nie bajka, ale przy odrobinie szczęścia dasz sobie radę. – Nie przejmował się tym, że jego słowa brzmią idiotycznie. – Jedyne, czego ci w życiu będzie trzeba, to znalezienia sobie miłego, prostego chłopaka. Zamieszkas z nim tutaj, na wsi, w ładnym i spokojnym otoczeniu, i będziecie mieli gromadkę dzieci. Prawdopodobnie ominą cię większe życiowe niepowodzenia, podobnie jak to się dzieje w odniesieniu do większości ludzi. Czasami bywa inaczej, ale na ogół nie jest źle.

Niemowlak z tabliczką z napisem „Bayard, dziewczynka” mocno zacisnął pięści i zaczął wierzgać nóżkami skrepowanymi pieluszką. Joe jeszcze raz spojrzął na dziecko i opuścił salę.

Musiał wreszcie zająć się sobą. Zjeść coś solidnego, wykąpać się i pospać. A potem zaskoczy pytaniami Sophie Bayard, tak że ta kobieta będzie musiała powiedzieć mu prawdę.

To prawdziwy cud, że do tej pory nie domyśliła się, iż ma do czynienia z policjantem. Dla większości ludzi już na pierwszy rzut oka było to oczywiste. Donna, młodsza siostra, twierdziła, że zdradza go postawa. Mimo że opuścił już służbę czynną, nadal chodził wyprostowany jak struna.– Niestety, życie dowiodło, że obie jego siostry nie znają się na mężczyznach. Mogły się też pomylić w jego przypadku.

– Kiedy będę mógł odwiedzić panią Bayard? – zapytał dyżurującą pielęgniarkę.

– Jest pan z rodziny?

Skinął głową. Miał przecież rodzinę. Siostry i babkę Emmę. Był jej jedynym wnukiem.

– Właśnie oglądałem niemowlę – powiedział wymijająco. – Prawda, że to ładna dziewczynka?

Pielęgniarka nie skomentowała jego słów. Podniosła wzrok.

– Może pan teraz odwiedzić matkę. Za chwilę zaczną rozwozić tace z kolacją.

Idąc do pokoju 211, Joe układał sobie w głowie ciąg pytań, którymi zaraz zarzuci Sophie Bayard. Nie było sensu już dłużej odkładać tego, co konieczne. Niczego nie będzie owijał w bawełnę i zacznie od sedna sprawy, gdyż w przeciwnym razie przesłuchiwana może zamknąć się w sobie i nie wyjawić mu niczego, jeśli nawet jest zupełnie niewinna. Z drugiej jednak strony, jeśli nie jest czysta jak dziewica, świetnie potrafi grać rolę wcielonej niewinności. O tym zdążył się już przekonać.

Przesłuchiwanie kobiet nie było rzeczą łatwą. Z nimi nigdy nie było nic wiadomo.

Podszedł do łóżka.

– Czy pani mnie słyszy? – zapytał szeptem.

Miała zamknięte oczy, ale Joemu wydawało się, że nie śpi. Wyglądała na ogromnie zmęczoną.

Delikatną. I niewinną.

W milczeniu przyglądał się rysom twarzy Sophie Bayard. Będąc w dobrej formie, musiała być bardzo ładną i atrakcyjną kobietą. Teraz daleko jej było do dobrej formy, a jednak patrzył na nią z przyjemnością.

Joe wolał zawsze drobne, pełne werwy brunetki. Z jedną z nich nawet wziął ślub. Nie oznaczało to jednak, że nie doceniał postawnej, bezpośredniej, naturalnej blondynki o ciepłym uśmiechu, z którą zetknęło go zawodowe życie.

Sophie Bayard wiedziała, że Joe stoi obok łóżka. Z jakiegoś powodu nie chciała go jednak jeszcze oglądać. Mimo to z trudem otworzyła oczy, a nawet zdobyła się na nikły uśmiech.

Czuła się fatalnie. Jeszcze nigdy w ciągu swych trzydziestu czterech lat życia nie była aż tak bardzo zmęczona. Ani tak okropnie obolała. Pielęgniarki powiedziały jej, że za parę dni, podobnie jak wszystkie inne młode matki, zapomni o bólu. Na razie jednak przeszywał całe ciało.

Co więcej, bała się. Zwykle spokojna i zrównowazona, teraz wpadła w panikę. Było to zupełnie do niej niepodobne.

Ostatnio zachowała się idiotycznie.

Jak mogła dopuścić do tego, aby jakiś całkiem obcy mężczyzna pomagał jej się myć i przebierać? Aby wiozł ją do szpitala i siedział przy niej dopóty, dopóki nie urodzi się dziecko! Czekał długie godziny, aż nastąpi poród, ścisnęła go za rękę.

Oto jak wyglądała jej niezależność.

– Sądziłam, że pan już sobie poszedł – odezwała się cichym, nieco ochrypłym głosem.

Jak przez mgłę przypomniawszy sobie własny krzyk, gdy nie potrafiła znieść bólu. Pomagał niewiele.

– Jeszcze tu jestem – odparł Joe. – Jak pani się czuje?

– Boli – poskarżyła się odruchowo. Wcale nie zamierzała tego zrobić.

– Powinienem kogoś zawiadomić? – zapytał.

– Nie. Proszę, niech pan naleje mi trochę wody.

Nalał. Pomógł Sophie Bayard unieść głowę, żeby mogła pić przez słomkę.

– Gdzie panią boli?

– Wszędzie. Bolą mnie nawet czubki palców. I włosy. Ale... ale już chyba trochę mniej.

Przypomniała sobie, że podczas przerw w bólach próbowała się uczesać, ale to jej nie wyszło.

– Dziękuję, że został pan ze mną. Nie było to konieczne, niemniej jednak jestem panu za to wdzięczna. Obie czujemy się już dobrze.

– Może pani mówić? – zapytał Joe.

Odparła, że tak, choć wcale nie miała na to ochoty. Ale ten mężczyzna był dla niej bardzo miły i widziała, że koniecznie chce o czymś z nią porozmawiać. Była mu to winna, bo gdyby o właściwej porze nie pojawił się w jej domu, mogłaby rodzić dziecko między grządkami cebuli i szparagowej fasoli.

Nie, tak by się nie stało. Miała wiele czasu. Zadzwoiłaby po taksówkę. Musiałaby tylko pokonać początkową panikę, a dalej wszystko ułożyłoby się dobrze.

– Widział pan malutką? Prawda, że ładna? Jeszcze nie wybrałam dla niej imienia.

Mimo że była zmęczona, na myśl o córce od razu się ożywiła.

– Widziałem. Pani Bayard, proszę posłuchać...

Miał wygląd energicznego, twardego i zapalczywego człowieka. Mimo że była przejęta własnymi sprawami, od razu to zauważyła. Jego kanciasta twarz świadczyła o silnym charakterze. Nie był przystojny, tak jak Rafe.

– Zgodzi się pani odpowiedzieć na parę pytań?

Sophie skinęła głową. Nadal przyglądała się stojącemu przy łóżku mężczyźnie. Zastanawiała się, ile razy miał złamany nos.

– Oczywiście. Mogę mówić. Jediną częścią ciała, która mnie nie boli, są wargi. To zabawne, że po urodzeniu dziecka człowiek czuje się tak, jakby przejechał po nim traktor. Okropnie bołą mnie nogi. Zwłaszcza czubki palców.

Joe sięgnął w stronę łóżka. Wysunął spod materaca brzegi mocno naciągniętego prześcieradła, którym przykryta była Sophie Bayard.

– Miała pani zgięte palce – oświadczył. – Jak zwykle, za ciasno naciągnęli prześcieradło. Sam też tego nie znośłem.

– Och, teraz jest lepiej. – Sophie poruszyła stopami i uśmiechnęła się do Joego. – Proszę, niech pan zaczyna. Odpowiem na wszystkie pytania, z wyjątkiem...

Od strony korytarza rozległ się hałas. Ktoś głośno otworzył drzwi, wniósł tacę z jedzeniem, postawił obok łóżka i bez słowa opuścił pokój.

– I teraz, człowieku, radź sobie sam – mruknął pod nosem Joe.

Uniósł górną część łóżka, tak aby pacjentka znalazła się w pozycji siedzącej. Przysunął tacę.

– Mają zbyt mało personelu – usprawiedliwiała Sophie niedbałą obsługę pacjentów. – Może sama postaram się tu o pracę, gdy trochę odchowam dziecko.

– Jest pani pielęgniarką?

– Nie, ale znam się na pracy biurowej. Będę przydatna na przykład w rejestracji. Umiem obsługiwać komputer. Mogą mnie nawet zatrudnić jako pomoc kuchenną.

– Jest pani bez pracy?

– Niezupełnie. Dojrzałam jednak do jakiejś zmiany, a zatrudnienie w szpitalu byłoby dla mnie korzystne. Mają tu żłobek dla dzieci pracowników. To wielka zaleta.

– Mniam, mniam – mruknął pod nosem Joe. Zdjął pokrywkę z pojemnika znajdującego się na tacy. Świetnie znał szpitalne jedzenie. Czy w Teksasie, czy w Północnej Karolinie, wszędzie miało identyczny smak. – Chce pani, żebym coś pokroił? – zapytał.

– Dziękuję, poradzę sobie. Zwykle nie jestem taka bezradna. Od chwili skończenia szkoły sama o siebie dbam. I nigdy nie chorowałam. Może dlatego to, co się teraz działo, tak ścięło mnie z nóg. – Sophie Bayard wzięła do ust kawałek mięsa, skrzywiła się i wzrokiem zaczęła szukać soli. – O czym chciał pan ze mną rozmawiać?

Tym pytaniem zbiła go z pantafelku. Joe był przekonany, że Sophie Bayard zrobi wszystko, żeby uniknąć zasadniczej rozmowy.

Przysunął krzesło do łóżka i usiadł. Zanim zdołał zadać pierwsze z serii zaplanowanych pytań, znów się odezwała:

– Dlaczego został pan tu ze mną? – spytała. – Przecież wcale się nie znamy. Nie miał pan w stosunku do mnie żadnych zobowiązań. A może znamy się z dawnych czasów? Ze szkoły? Czy powinnam pana pamiętać? Wychowywaliśmy się w tym samym sierocińcu? Od tamtej pory upłynęło tyle czasu... Utrzymywałam kontakty z paroma osobami z klasy, ale były to dziewczyny. Obecnie już kobiety.

Sophie Bayard piła powoli kawę. Joe otworzył usta, żeby znów spróbować zadać parę pytań, lecz tym razem także go ubiegła.

– Ma pan ochotę na kromkę chleba? – spytała. – Jest sucha, ale można ją posmarować. Jest tu trochę... nie, to nie masło, lecz coś innego. A może zadzwonić po pielęgniarkę, żeby przyniosła panu coś do picia?

Rozmowa zaczęła toczyć się wokół tematu jedzenia. Zastanawiali się głośno, czy zwykła kawa jest bardziej szkodliwa od bezkofeinowej, czy też nie. Joe już miał zapytać Sophie Bayard, czy to Ona kierowała oszukańczymi poczynaniami Rafe'a Davisa, czy tylko pośredniczyła w upłynnieniu skradzionych przedmiotów, gdy otworzyły się drzwi szpitalnego pokoju. Weszła laborantka i poprosiła Joego, żeby na chwilę wyszedł.

Rozczarowany, znalazł się na korytarzu. Kiedy po kilku minutach pozwolono mu wrócić do Sophie Bayard, znów szykował się do zadania jej pierwszego pytania. Tym razem uniemożliwiło mu to wejście pielęgniarki. Zrezygnowany, dał spokój próbom przesłuchania podejrzanej.

Czterdzieści minut później wynajął miejsce w hotelu, zamówił jedzenie do pokoju i zanurzył się w wannie napełnionej gorącą wodą. Długo już czekał na rozmowę z Sophie Bayard. Uznał, że kilka dalszych godzin opóźnienia nic nie zmieni.

Następnego ranka spał jeszcze tak mocno, że nie usłyszał dzwonienia zegarka. Obudziły go dopiero promienie słońca, które przez szpary w zasłonach przedostały się do wnętrza pokoju.

Na śniadanie zamówił pizzę. Potem zrobił kilka ćwiczeń zaleconych przez fizykoterapeutę, mających podobno przywrócić mu pełną sprawność, a na końcu wziął gorący prysznic.

Przyszło mu do głowy, że warto byłoby pojechać do domu Sophie Bayard. Był pusty, więc mógł go dokładnie przeszukać.

Potem, znalazłszy skradzione przedmioty, przedstawiłby jej dowody winy. Uprościłoby to znacznie całe postępowanie.

Z tego pomysłu jednak zrezygnował. Zadzwoił do babki Emmy i zapytał ją o zdrowie. Ze zmarszczonym czołem wysłuchał odpowiedzi.

– Za parę dni ruszam w drogę powrotną – obiecał. – Zaraz idę do szpitala, żeby nadal mieć oko na Sophie i dziecko. Opowiadałem ci o niej wieczorem przez telefon. Pamiętasz? Tak, urodziła się dziewczynka. Nie masz pojęcia, jak takie dziecko może być brzydkie. Do tej pory byłem przekonany, że wszystkie niemowlaki są tak śliczne jak te, które pokazują w reklamach pieluszek.

Sophie z niechęcią wstała z łóżka. Nie pierwszy raz robiła coś, na co nie miała ochoty. Dziś jednak powód był ważniejszy niż zwykle. Wracła do domu z dzieckiem. Zabierała ze szpitala Iris Reбекę Bayard.

Sophie zastanawiała się, ile jeszcze pamięta z dawnych czasów o pielęgnacji maluchów. W sierocińcu świetnie sobie z nimi radziła. Było to jednak dawno temu. Przed ponad siedemnastu laty.

Dobrze byłoby pozostać w szpitalu jeszcze jeden dzień i lepiej przygotować się do roli matki. Niestety, nie mogła sobie pozwolić na przedłużenie pobytu. Jej ubezpieczenie nie pokryłoby dalszych wydatków.

Była zupełnie bez grosza. A wszystko to z winy przystojnego, wygadane go łajdaka, który ukradł jej nie tylko serce, lecz także wszelkie oszczędności oraz pozbawił ją szacunku do samej siebie i niemal wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość.

Zostawił jednak pewien przedmiot. Było to dziełem czystego przypadku. Gdyby pamiętne go dnia nie wzięła z sobą do banku małej nefrytowej wazy, żeby pokazać ją znajomym i sprawdzić, czy zmieści się w depozytowej skrytce, też by ją zabrał.

Sophie westchnęła głęboko. Włożyła na siebie starą, ciężową sukienkę. Żaden ze strojów, które miała w walizce, nie pasował na jej nagle odchudzoną, pozbawioną brzucha sylwetkę. Była bliska płaczu.

Gdy pielęgniarka przyniosła jej dziecko, na jego widok Sophie od razu poczuła się znacznie lepiej, wręcz doskonale. Była zmęczona i obolała, ale szczęśliwa. Stan ten jej nowy znajomy nazwałby euforią.

Ledwie poprosiła kogoś z obsługi o wezwanie taksówki, stanął w drzwiach szpitalnego pokoju.

Sophie wiedziała, że jest skryty. Nic nie mówił o sobie. Wczoraj zobaczyła blizny na jego twarzy. Dopiero dzisiaj jednak uprzytomniła sobie, jaki jest wysoki i barczysty. Brunet, z czarnymi włosami przyprószonymi siwizną. Oczy miał ciemne, nieprzenikliwe. Przypominały przeciwsłoneczne okulary, przez które od zewnątrz nie widać absolutnie nic.

Mimo że zmęczona i przejęta własnymi sprawami, Sophie natychmiast wyczuła napięcie, jakie wniósł z sobą gość.

– Dzień dobry – przywitała go z lekkim uśmiechem na wargach. – Do tej pory nie udało się zakończyć naszej rozmowy.

– Pani się dokądś wybiera? – zapytał.

– Tak. Do domu – odparła z ożywieniem. Zobaczyła, że Joe Dana wygląda na zaskoczonego. – Właśnie poprosiłam o sprowadzenie taksówki. Administracja szpitala jest tak miła, że wypożyczy mi samochodowy fotelik dla dziecka. Oddam go, gdy tylko kupię własny.

– Taksówka nie jest potrzebna. W pobliżu szpitala zaparkowałem swoją furgonetkę – oznajmił gość.

– Och, nie mogę pana... Przerwał jej od razu.

– Może pani. Spodobała mi się panna Tłuścioszka. Chcę odwiedzić ją do domu.

– No, dobrze – z wahaniem przystała Sophie – jeśli naprawdę to panu odpowiada. Gdy dojedziemy na miejsce, wypyta mnie pan o wszystko, na czym panu zależy.

– Jasne – zapewnił ją krótko Joe. Mruknął, że idzie sprowadzić furgonetkę przed szpitalne wejście, i opuścił pokój.

Przez chwilę Sophie miała ochotę go zatrzymać. Nie chciała, żeby odchodził. Zaraz potem uprzytomniła sobie bezsensowność takiej reakcji. Musiała być chwilowym skutkiem poporodowego zmęczenia. Tak jak przewidziała to pielęgniarka, zaczynała już zapominać o bólach.

Za parę dni będzie karmiła niemowlę i zmieniała mu pieluszki, a także siedziała przed komputerem, sporządzając zestawy drobnych ogłoszeń dla zatrudniającej ją agencji. Dzięki tej, niestety kiepsko płatnej, pracy uda się jej chyba popłacić bieżące rachunki.

Równocześnie Sophie myślała o mężczyźnie, który ją odwiedził. Zastanawiała się, kim jest, po co przyjechał i kręcił się wokół niej.

Okropny człowiek. Miał czelność nazwać jej piękną córeczkę, Iris Reбекę Bayard, panną Tłuscioszką! pomyślała z dezaprobatą.

ROZDZIAŁ TRZECI

– O tym, że zdecydowałam się właśnie na ten dom, przesądził tamten skrawek ziemi – oświadczyła Sophie Bayard, wskazując ręką kawałek zielonego terenu na zapleczu. – Ten duży, stary dąb nadaje się idealnie do umocowania na nim dziecięcej huśtawki. Za rok lub nieco później postawię tu ogrodzenie, żeby powstał plac zabaw. Kto wie, może nawet zacznę hodować kury. To całkiem realne, jeśli mieszka się na wsi, tak jak tutaj. A w ogóle to wspaniałe miejsce na wychowywanie Iris – rozgadała się, gdy zjechali z szosy w boczną drogę. Miała nadzieję, że jej słowa brzmią pewnie i z przekonaniem.

Przez całą drogę, od chwili opuszczenia szpitala, Joe prawie się nie odzywał. Już wcześniej Sophie zdążyła się przekonać, że jest człowiekiem małomównym i skrytym. Ona sama paplała bez przerwy podczas jazdy. Robiła tak zawsze, gdy była zdenerwowana. Wreszcie zamilkła. W miarę zbliżania się do domu czuła się coraz mniej pewnie.

Co ją skusiło, żeby przenieść się na takie odludzie? Najbliższy sąsiad mieszkał w odległości półtora kilometra od jej domu, a do tego okazał się człowiekiem mało przyjacielskim, wręcz nieżyczliwym. Gdy tylko się wprowadziła, od razu pojechała złożyć mu sąsiedzką wizytę. Popęłniła błąd, gdyż pewnie wyrwała starszego pana z przedpołudniowej drzemki lub ode-rwała od innego, ważnego dla niego zajęcia. Przyjął ją oschle i na progu oświadczył, że jeśli jest akwizytorką, niech nie liczy na to, że on cokolwiek u niej kupi. A jeśli zjawiała się po datek na biednych, to też trafiła źle i nie dostanie nic, bo on sam żyje z zasiłku pomocy społecznej i ledwie wiąże koniec z końcem.

Sophie pomyślała sobie wówczas, że gdyby starszy pan z daleka ujrzał nad jej domem unoszący się czarny dym, pewnie zdobyłby się na to, żeby

wezwać strażaków. Ale gdyby poczuła się samotna i chciała z kimś pogadać, nic by z tego nie wyszło. Nie mogła też liczyć na żadną pomoc sąsiedzką ani dobre rady.

Zajmowanie się domem i pielęgnowanie niemowlęcia wymagało sporo doświadczenia. Sophie zaczęła się poważnie zastanawiać, czy powstała sytuacja nie przerasta jej możliwości.

Przerastała. Ale nie było na to rady.

Istniała jednak dziedzina, w której Sophie miała ogromne i długoletnie doświadczenie. Chodziło o poczucie winy. Gnębiło ją od najmłodszych lat, od czasu gdy była jeszcze zbyt młoda, aby uświadomić sobie, co to jest. Przypadkiem usłyszała wówczas oskarżenie, że to z jej powodu ojciec uciekł z domu. Od tamtej pory poczucie winy przyrosło do niej na stałe. Towarzyszyło zawsze, w każdych okolicznościach.

Muchy w domu? Jej wina. Widocznie zostawiła otwarte okno.

Opadło ciasto? Na pewno trzasnęła drzwiami w najmniej odpowiednim momencie.

Lało podczas całego szkolnego, niedzielnego pikniku?

No, na pogodę wpływu nie miała. Gdyby jednak modliła się żarliwiej o sprzyjającą aurę, może by deszczu nie było.

A teraz, na widok zmarszczonego czoła siedzącego obok mężczyzny, od razu pomyślała, że odpowiada za jego zły nastrój. Zgodziła się, żeby ze szpitala odwiózł ją do domu, a przecież z powodzeniem mogła jechać taksówką. Wprawdzie kosztowałyby to fortunę, ale nie musiała się tym przejmować. Lada dzień z pewnością nadejdą oferty w odpowiedzi na ogłoszenie, które dała do gazety.

Zaniosła do antykwariusza cały komplet nefrytowych cacek. Chciał je kupić za pięć tysięcy dolarów. Wykazała, na szczęście, tyle zdrowego

rozsądku, żeby nie przystać na proponowaną cenę. Skończyło się na tym, że za jedną tylko sztukę, wyglądającą jak zwykła waza, jakie można za grosze kupić na bazarach, zapłacił jej dwukrotnie więcej.

Przy okazji Sophie dowiedziała się czegoś istotnego. Wszystkie te przedmioty miały dużą wartość. I, co najważniejsze, były jej własnością. Otrzymała je od Rafe'a. W pewnym sensie stanowiły rekompensatę za wszystko, co jej ukradł, nie mówiąc o kosztach, które wiążą się z wychowaniem dziecka.

Sophie przerwała na chwilę rozważania. Spojrzała ukosem na siedzącego obok mężczyznę. Przez cały czas był zaprzątnięty własnymi, chyba niewesołymi myślami.

Nurtowała go jakaś sprawa. Wczoraj sam do tego się przyznał, gdy znalazł się w jej ogrodzie i z konieczności odegrał rolę dobrego samarytanina. Może teraz postanowił zachowywać się mniej uprzejmie? Sophie zdołała go już jednak przejrzeć. Mimo dość groźnego wyglądu i potężnej sylwetki, był łagodnym, przyzwoitym człowiekiem. Takim, jakim instynktownie ufają wszystkie kobiety. Joe Dana był mężczyzną o gołęmbim sercu. Sophie była o tym głęboko przekonana.

Już nawet przyzwyczała się do niecodziennego widoku jego twarzy. Rysy miał ostre i surowe. Bardzo wyraziste i męskie. Rysy silnego człowieka, który w tej chwili nie był w dobrym nastroju.

– Chciał pan o coś mnie zapytać? – Oby nie chodziło o podatki! pomyślała Sophie z przerażeniem. Zawsze płaciła je regularnie i nigdy nie miała z fiskusem żadnych kłopotów, ale od piętnastego kwietnia tego roku nie była w stanie skupić się na niczym. Z tego też powodu nie wypełniła podatkowych formularzy.

– Poczekam – mruknął Joe.

– Wraca pan od razu do Teksasu?

– Skąd przyszło pani do głowy, że stamtąd przyjechałem?

– Ma pan na furgonetce teksańskie numery rejestracyjne. A poza tym wspomniał pan, że zatrzyma się w hotelu, więc sobie wydedukowałam, że musiał pan przyjechać z daleka.

– Tak.

Czy jest z Teksasu, czy tam jedzie? Na które z tych pytań odpowiedział twierdząco, tego Sophie nie wiedziała. Jedno było dla niej pewne. Nie chciała, żeby wyjeżdżał.

Było to idiotyczne odczucie. W ogóle nie była istotą normalną. Każda kobieta, która była aż tak głupia, żeby uwierzyć, iż piękny facet, adonis pokroju Rafe'a Davisa, od pierwszego wejrzenia szaleńczo się w niej zakocha, powinna natychmiast wylądować u psychiatry.

Rafe nazywał ją swoją złotowłosą boginią. A ona tak rozpaczliwie pragnęła, żeby ktoś ją pokochał, iż pozwoliła mu całkowicie sobą zawładnąć.

Idiotyzm. Skrajna głupota.

Z konieczności była samodzielna, odkąd skończyła siedemnaście lat, i sama musiała się o siebie troszczyć. Poznała gorycz życia. Niestety jednak, gdy chodziło o mężczyzn, nie nauczyła się absolutnie niczego. Była przekonana, że w psychologii istnieje jakieś naukowe określenie kobiet, które całkowicie podporządkowują się mężczyznom i dają się im wodzić za nos, ale to jej nie interesowało. W każdym razie jeśli nadal będzie tak głupia, pewnie kupi most Brooklyński, o ile zaoferuje go jakiś odpowiedni mężczyzna.

Zamiast odpowiedniego mężczyzny zjawił się nieodpowiedni i dała się nabrać. Zanim zdołała oprzytomnieć, łobuz skradł jej szkatułkę z biżuterią, opróżnił szafy, podwędził kartę kredytową i trzyletni samochód. Potem podjechał pod pierwszy z brzegu bank i do cna wyczyścił jej konto.

Trzy tygodnie później jej własnym samochodem wjechał pod pociąg pasażerski. Działo się to w Georgii.

Mężczyzna ten zostawił jednak Sophie coś znacznie bardziej wartościowego niż to, z czego ją obrabował. Iris. Córeczkę.

Miała teraz dla kogo żyć. Miała rodzinę.

Ów mężczyzna zostawił też nefrytowe przedmioty, które były warte fortunę.

Joe głośno odchrząknął. Iris, umieszczona między przednimi siedzeniami, poruszyła wargami, ale się nie obudziła.

– O co chciał pan mnie zapytać? – Do licha, niech wreszcie z siebie wydusi, o co mu chodzi, i da mi święty spokój, pomyślała Sophie. Chwilami miała już serdecznie dość towarzystwa tego ponuraka. Nie była jej potrzebna żadna życiowa podpora.

– Czy ma pani kołyskę? – zapytał nagle, nie reagując na jej wcześniejsze słowa. – Albo jakieś łóżeczko dla dziecka?

– Och, mam gotowy cały dziecinny pokój. Odnowiony i umeblowany, czeka na przyjęcie małego lokatora. To była pierwsza rzecz, do jakiej się zabrałam, będąc w ciąży. Wiedziałam, że dni, w które będę mogła wspinać się po drabinie i wachać farbę, są policzone.

Sophie głośno się roześmiała. Joe pozostał nachmurzony. Był uczynny i życzliwy, ale okropnie ponury.

Przez chwilę nawet sądziła, że Joe Dana jest policjantem. Wskazywało na to parę jego uwag podczas rozmowy w szpitalu. Ale po co jakiś gliniarz przyjeżdżałby do niej aż z Teksasu? Nigdy nie była nawet w pobliżu tego odległego stanu.

Przyszło jej też do głowy, że ten człowiek może mieć coś wspólnego z Rafe'em. Ale to także szybko uznała za nieprawdopodobne. O ile wiedziała,

Rafe też nigdy nie był w Teksasie. Co prawda znała go bardzo słabo. Mówił, że pracuje w handlu, a ona nawet nie zapytała go o to, czym konkretnie się zajmuje. Żałowała swego braku przezorności dopiero wówczas, gdy po ucieczce Rafe'a była zmuszona zgłosić szeryfowi kradzież, której dokonał. Sześć tygodni później przyszło do niej dwóch policjantów. Poinformowali o znalezieniu zrabowanego samochodu, a właściwie tylko jego szczątków, gdyż został całkowicie zniszczony w wypadku, podczas którego jadący nim złodziej zginął na miejscu. Wtedy jednak Sophie była tak bardzo przejęta i oszołomiona utratą pracy, a zarazem faktem, że jest w ciąży, iż większość tego, co mówili policjanci, w ogóle do niej nie dotarła.

Znaleźli się wreszcie na miejscu. Joe podjechał pod dom. Wyłączył silnik.

– Chyba zanosi się na deszcz – stwierdził.

– Nie – odrzekła Sophie. – Nie ma na niebie ani jednej chmurki. Jestem panu winna za pieluchy i inne drobiazgi – dodała. – Ostatnie zakupy miałam zamiar zrobić w przyszłym tygodniu, ale nie zdążyłam. W poniedziałek dostanę wypłatę z agencji, więc zwrócę panu wszystkie koszty.

– Nie trzeba. Niech pani potraktuje to jako prezent dla dziecka.

– Och, to pan, Joe, był dla nas największym prezentem, który spadł jak z nieba. Nigdy nie będę w stanie odwdziaczyć się za to, co pan dla mnie zrobił. Gdyby wtedy pan się nie zjawił...

– Podniosłaby pani słuchawkę, zadzwoniła do kogoś znajomego i wszystko dalej poszłoby jak po maśle.

– Ma pan rację – przyznała Sophie, mimo że wcale nie była o tym przekonana.

Do kogo miałyby telefonować? Nieliczni znajomi, jacy mieszkali w okolicy, akurat przebywali w Winston, gdzie byli zatrudnieni. Nie mogła

poprosić żadnego z nich, żeby w środku dnia rzucił swoją pracę, jechał kawał drogi do okręgu Davie, gdzie mieszkała, trzymał ją za rękę, kiedy następowały przerwy między falami bólów, zawiózł do szpitala, pozostał tam i zajmował się nią, dopóki nie urodziła, a potem wrócił następnego dnia i wraz z dzieckiem odwiózł do domu.

– W każdym razie z pańskiej strony był to niezwykle miły gest – dodała po chwili. – Jak sądzę, policjanci muszą umieć radzić sobie z przeróżnymi, nietypowymi sytuacjami.

– Skąd przyszło pani do głowy, że jestem policjantem?

– A tak nie jest?

– Już nie. – Wczoraj w szpitalu, gdy Sophie wypytywała go, co robi, powiedział, że przeszedł na emeryturę. Zaraz potem miała nową falę bólów i nie zdołała zadać mu następnych pytań. – Niech pani lepiej poda mi dziecko. Zaniosę je do domu, a potem wrócę po resztę rzeczy. Czy nie przyszło pani do głowy, żeby założyć w drzwiach solidniejsze zamki? Są tak kiepskie, że każdy dzieciak w ciągu dziesięciu sekund włamie się do środka.

Sophie z trudem wy dostała się z furgonetki.

– Włamie się i co zrobi? – zapytała. – Ze wszystkiego mnie okradnie? A co ja takiego mam? Chyba zdążył pan już zauważyć, że nie mam nic wartościowego.

– Każdy człowiek ma jakieś przedmioty, które są dla niego cenne. Ważne dokumenty. Biżuterię. Antyki.

Joe ostrożnie wyjął dziecko z samochodu i przycisnął je do piersi.

– Jasne – mruknęła Sophie. – Jeśli chodzi o antyki, to jeden tu jest, i to wielki. Ta chałupa. Nie jest moją własnością. Może nawet nią się stanie, gdy przestaną się kłócić spadkobiercy właścicielki. Aha, mam jeszcze książkę kucharską mojej prababki. Ją też pewnie można zaliczyć do antyków. Nie

prababkę, lecz książkę. Od dawna już nie posiadam żadnej biżuterii, a zegarek kupiłam w sklepiku na rogu. Nadal jednak jestem właścicielką telewizora, który przy sprzyjającej pogodzie potrafi odbierać aż cztery stacje.

Sophie paplała byle co, siląc się na żartobliwy ton. Nie udało się jej jednak rozweselić swego towarzysza. Na jego ponurej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

Uprzytomniła sobie, że Joe Dana zaraz ją opuści. Nie miał żadnego powodu zostawać dłużej. Poczula, jak ściska się jej serce.

Odetchnęła głęboko. Ten jej dziwny nastrój musiał być skutkiem urodzenia dziecka. Słyszała o tego rodzaju poporodowych zaburzeniach emocjonalnych. Były przykre, lecz całkowicie niegroźne.

Zdobyła się na uśmiech.

– Zanim ruszy pan w drogę, proponuję mały posiłek. Mam w lodówce trochę wołowiny. Zrobię panu kanapkę. Proszę dać mi dziecko. Sama je potrzynam.

Sophie wyciągnęła ręce, aby przejąć małe, różowe zawiniątko.

Joe podał jej córeczkę.

– Już czuje się pani matką?

Jak właściwie się czuła? Była bardzo szczęśliwa, a zarazem miała ochotę się rozplakać. I chciało się jej jeść.

– Nie jest dla pani za ciężka? – zaniepokoił się Joe. – Przecież dopiero co opuściła pani szpital.

– Nosłam ją przez blisko dziewięć miesięcy.

– A wyglądała pani tak, jakby trwało to z rok.

– Iris to ogromne dziecko. Jako niemowlę byłam taka sama.

– W pani rodzinie panuje moda na duże noworodki? Sophie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Byłam jedynaczką.

Znajdowali się w pokoju od frontu. Zaraz po wprowadzeniu się Sophie odmalowała ściany i zawiesiła zasłony przywiezione z poprzedniego mieszkania. Teraz, oglądając wnętrze oczyma obcego człowieka, uznała, że nieliczne nowe meble, z których była tak dumna, niezbyt pasują do wiejskiego domu.

Doszła do wniosku, że przydałoby się więcej drewnianych sprzętów i kretonowych obić, zamiast szkła i giętego żelaza. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży jednego przedmiotu z nefrytu wynajęła ten dom i opłaciła przeprowadzkę. Na urządzenie wnętrza pozostało niewiele. Z odszkodowania za skradziony wóz starczyło tylko na zakup używanego samochodu.

Sophie wiedziała, że do chwili sprzedaży następnego nefrytowego cacka nazbiera się pokaźny stos rachunków, które będzie musiała zapłacić. Pragnęła jednak odroczyć tę chwilę jak najdłużej, gdyż musiała zacząć oszczędzać ze względu na przyszłość dziecka. Tak więc na razie zrezygnuje z drewnianych mebli i kretonowych obić.

Przez cały czas Joe nie spuszczał wzroku z Sophie. Spod półprzymkniętych dla niepoznaki powiek obserwował ją ukradkiem, ale badawczo. Był ogromnie zawiedziony, że do tej pory nie udało mu się rozszyfrować tej kobiety. Znał się na ludziach i zwykle szybko się orientował, z kim ma do czynienia. Po półgodzinie spędzonej sam na sam z podejrzanym potrafił bez trudu odkryć motywy postępowania danego człowieka. Poznawał, czy delikwent kłamie lub coś ukrywa i czy bliski jest załamania. Wiedział także, w jaki sposób przyprzeć podejrzanego do muru, aby się załamał i wyjawiał całą prawdę.

Sophie Bayard wydawała się otwartą księgą. Niestety, napisaną w nieznany Joemu języku. Jej zmęczenie i podenerwowanie były w pełni

naturalne. Miała pozytywny stosunek do życia. Od pierwszej chwili Joe uznał ją za optymistkę, która wszystko widzi od dobrej strony, nawet wtedy, kiedy sprawy stoją źle. Pod tym względem przypominała mu babkę Emmę. A właściwie babkę Emmę sprzed lat.

– Ma pani krewnych? – zapytał.

– Nie.

– A znajomych?

– Oczywiście. Każdy człowiek ich ma.

A więc dlaczego do tej pory nikogo z nich nie poznał? Gdzie się podziewali? Dlaczego nie zjawili się w szpitalu z gratulacjami i kwiatami?

Sophie Bayard miała przynajmniej sąsiadów. A właściwie jednego, starego i niesympatycznego sąsiada, który, jak Joe miał okazję się przekonać, za parę złotych sprzedałby własną matkę.

Ponadto Joe wcale nie był pewny, kto jest ojcem małej Iris. Domyślał się, ale pewności nie miał. Podejrzewał, że był nim Rafe Davis. Jeśli tak, to jakie były jego stosunki z Sophie Bayard? Czy słyszała, że zginął w wypadku? Czy wiedziała, że w Rowlett, w pobliżu Dallas, mieszka jego żona?

– Jeśli nie ma pan ochoty na kanapkę, może napije się pan kawy? Jedną filiżankę przed drogą. Za minutę będzie gotowa. A może byłaby lepsza mrożona herbata? – jednym tchem pytała Sophie. – Mam gotową w lodówce. – Zamilkła, a na jej twarzy pojawił się wyraz zadumy. – I pomyśleć, że nie dalej jak wczoraj, kiedy ją robiłam, nie miałam nikogo bliskiego. A dzisiaj co? Jestem matką!

Na ponurej twarzy Joego pojawił się cień uśmiechu. Poszło mu łatwiej, niż się spodziewał. Z potarganymi włosami, zmęczonymi oczyma i ubrana w workowatą sukienkę Sophie Bayard wyglądała żałośnie. I robiła wrażenie stuprocentowo ucziwej kobiety.

– Widzę, że chce pani szybko się mnie pozbyć – zauważył po chwili.

– Och, nie. Proszę zostać tak długo, jak się panu podoba, ale wiem, że zależy panu na tym, aby jak najszybciej... Nieważne. W każdym razie proszę pamiętać, że jestem pańską dłużniczką. Gdyby nie pan, nie wiem, co bym zrobiła...

Joe poczuł się nieswojo. Do licha, ta kobieta zaczynała sprawiać, że czuł się winny.

Trzymając dziecko na jednym ręku, podeszła do akwarium. Wrzuciła do wody trochę rybiego pokarmu.

– Cześć, Darryl – przywitała podopiecznego. – Popatrz, co przywiozłam do domu – dodała miękko.

– Niepotrzebnie pani się męczy. Sam mogłem nakarmić rybkę – odezwał się Joe.

– To żaden kłopot. Darryl to miły towarzysz życia. Jak na rybkę...

– W każdym razie niech się pani nie przemęcza. – Joe odebrał z rąk Sophie różowe zawiniątko. – Coś mi się zdaje, że była mowa o kawie. Proszę powiedzieć, w którą stronę mam iść, żeby trafić do dzieciennego pokoju. Ułożę małą do snu, a potem chętnie napiję się kawy. Szczerze mówiąc, mam też ochotę na kanapkę. Lubi pani wołowinę z musztardą czy z innym dodatkiem? Przygotuję dla nas jedzenie.

I pomyśleć, że stał się równocześnie kucharzem, lokajem i niańką dziecka! Obwiniął o to tę kobietę. Nie powinna traktować go tak bezpośrednio i serdecznie, jakby był wieloletnim przyjacielem, bo nim nie był. U Sophie Bayard znajdował się tylko i wyłącznie dlatego, że wykonywał ściśle określone zadanie.

Puszkę z pokarmem dla rybki Sophie odstawiła na półkę. Joe nie potrafił oderwać wzroku od jej sylwetki. Na chwilę ogarnęło go dziwne uczucie fizycznego pożądania, a zarazem opiekuńczości.

To doznanie wcale mu się nie podobało. Błyskawicznie się go pozbył. Ale, co gorsza, było to dla niego coś zupełnie nowego.

Nagle niemowlę, które trzymał, poruszyło się. Przywróciło mu to poczucie rzeczywistości.

– Panno Tłuscioszko – zwrócił się do różowego zawiniątka – muszę teraz pogadać z twoją mamą. A ciebie położę spać.

Pokój dziecinny był pomalowany żółtą farbą o ładnym odcieniu. Spodobał się Joemu. Stało tu białe łóżeczko. Używane, ale w dobrym stanie. W pokoju znajdowały się także stół, szafki z szufladami i wiklinowy fotel na biegunach.

Wszystkie meble były starannie odnowione i świeżo pomalowane na biało. Joe pomyślał, że w przygotowanie dziecinnego pokoju Sophie Bayard włożyła dużo wysiłku. A ponadto wszystko robiła zupełnie sama.

Stanęła tuż za plecami Joego. Spytała cichym głosem:

– I jak się tu panu podoba?

Powiedział, że pokój jest ładny, bo takiej odpowiedzi po nim się spodziewała. Ciągle zadziwiała go jedna rzecz. Sophie Bayard była spragniona wszelkich komplementów jak ryba wody. Zachwycało ją każde miłe słowo wypowiedziane pod jej adresem. Było to uderzające. Joe miał wrażenie, że ta kobieta słyszała ich dotąd stanowczo zbyt mało.

– Ma mokro? – spytała z niepokojem. – Trzeba ją przewinać? Nie bardzo wiem, kiedy powinnam teraz karmić. Pielęgniarka napisała mi kilka wskazówek i...

– Proszę, niech się pani uspokoi – powiedział Joe, widząc, jak ze zdenerwowania Sophie Bayard aż wykręca sobie palce. – Mała da znać, kiedy będzie głodna. A także wtedy, kiedy trzeba będzie zmienić jej pieluszkę lub ją ukołysać. Niemowlaki mają swoje sposoby przekazywania informacji o takich rzeczach – dodał, mając błogą nadzieję, że tak właśnie jest. – Chodźmy teraz do kuchni. Przez chwilę pani odpocznie, a ja przygotuję nam lunch.

Gdy wspomniał o karmieniu dziecka, Sophie wyglądała na lekko zmieszaną. Czyżby sądziła, że nigdy nie widział kobiecych piersi? Do licha, przecież miał już czterdziestkę na karku, a ona sama też nie była pierwszej młodości. Jego zdaniem, wyglądała na trzydzieści pięć lat, ale równie dobrze mogła być trochę młodsza.

W każdym razie była atrakcyjną kobietą. Apetyczną. Ciało miała w pełni dojrzałe. A ponadto w jej twarzy i niewinnym spojrzeniu dużych szarych oczu było coś, co sprawiało, że Joe pragnął zapomnieć o istnieniu przeklętej nefrytowej wazy.

Obiecał jednak babce Emmie, że odnajdzie bezcenną chińską kolekcję, i musiał dotrzymać danego słowa. I doskonale wiedział, że im dłużej będzie odraczał to zadanie, tym trudniejsze stanie się do wykonania.

Och, ta Donna!

Uległ jej prośbie. Tak rozpaczliwie łkała przez telefon, że ledwie rozumiał słowa. Zgodził się pomóc przede wszystkim dlatego, że nigdy nie zdołał się uodpornić na łzy swoich sióstr. Bądź co bądź był starszym bratem. Mimo że nie byli sobie aż tak bliscy jak niegdyś, nadal wiele ich łączyło.

Chińską nefrytową kolekcję miano zabrać do muzeum, ale Donna postanowiła zatrzymać ją u siebie przez sobotę i niedzielę, aby w tym czasie sfotografować do katalogu wystawy. Istniały dawne zdjęcia wszystkich przedmiotów kolekcji, ale były już zniszczone i kiepskiej jakości.

Jak się potem okazało, w rzeczywistości było nieco inaczej. Donna pragnęła pokazać cenny zbiór mężczyźnie, którym się interesowała, a jego z kolei interesowały cenne przedmioty. Tym mężczyzną był pośrednik w handlu dziełami sztuki, niejaki Rafe Davis.

Po fakcie Donna powiedziała bratu, że Rafe Davis poczekał, aż ona zaśnie, a potem ukradł kolekcję i natychmiast opuścił miasto. Przy tej to okazji Joe dowiedział się, że jego siostra mieszkała z nowym kochankiem.

Kradzież odkryła dopiero rano. Zamiast od razu zawiadomić o niej policję, zadzwoniła z płaczem do Joego, błagając o pomoc. Niejeden raz wyciągnął ją z tarapatów, więc była przekonana, że i tym razem zrobi to samo.

Rafael Davis, alias Richard Donaldson, alias David Raferty, ukradł Donnie nie tylko bezcenną chińską kolekcję przedmiotów z nefrytu, należącą do babki Emmy, lecz także dwa kosztowne aparaty fotograficzne oraz brylantowy pierścionek wysadzany szmaragdami.

Dwadzieścia lat temu lub nawet dziesięć takiemu jak on łobuzowi udałooby się ujść bezkarnie z cennym łupem. Dziś jednak sposoby przekazywania informacji były o niebo lepsze niż wówczas. Nawet komisariaty w małych miejscowościach zostały natychmiast powiadomione o kradzieży.

Dzięki dobrej łączności Joe szybko natrafił w Amarillo na kobietę, która oszczędności całego życia przepisała na agenta ubezpieczeniowego, niejakiego Ricka Donaldsona, który obiecał je zainwestować z myślą o wspólnej przyszłości. Pieniądzy nigdzie nie ulokował. Zabrał je z sobą, podobnie jak małą akwarelę Andrew Wyetha, i wyjechał w nieznanym kierunku.

W Arkansas ten sam osobnik okradł wdowę z pieniędzy uzyskanych z polisy na życie po zmarłym mężu. Przyrzekł zainwestować je w zakup domu, w którym mieli oboje zamieszkać po ślubie. Ponadto wziął od tej kobiety ślubną obrączkę, którą miał zanieść do oczyszczenia. I tyle go widziano.

Joe zastanawiał się nad tym, czy poszkodowane były tak bezdennie głupie, by zawierzyć praktycznie obcemu mężczyźnie wszystko, co posiadały, czy też on był znakomitym w swoim fachu matrymonialnym oszustem. Prawdopodobnie nałożyły się na siebie, oba te fakty. Donna była osobą wszechstronnie wykształconą, skończyła dwa fakultety i studiowała na trzecim wydziale, no, a jeśli chodzi o mężczyzn, to nie brak jej było doświadczenia. Za każdym razem gdy rozpadało się jej kolejne małżeństwo, przysięgała, że nigdy więcej nie zainteresuje się żadnym mężczyzną. Nie nie potrafiła jednak długo dotrzymać danego sobie słowa. Podobnie jak i inne kobiety, mniej wykształcone i obyte z mężczyznami, także ją omamił i wyprowadził w pole genialny adonis.

Teraz Joe wraz z Sophie siedział w kuchni. Bardzo mu to odpowiadało, gdyż był przekonany, że w domowej, ciepłej atmosferze nie będzie się tak bardzo miała na baczności. Postanowił zadać jej parę pytań wprowadzających i na jutro odłożyć najtrudniejsze.

– Używa pan soli? – spytała. Zaprzeczył ruchem głowy.

– Też nie powinnam tego robić. Od soli puchną mi kolana. Ale nie zamierzam przejmować się żadną dietą i nie będę się odchudzała. Może nawet zrobię czekoladowy pudding. Czy wie pan, że karmiące matki mogą jeść bardziej kaloryczne potrawy i nie przybywa im na wadze?

Joe mruknął coś pod nosem. Był zajęty formułowaniem w myśli pierwszego pytania.

– Sophie, czy pani wie, kto jest paser?

– Paser? – zdziwiła się, w pierwszej chwili nie rozumiejąc pytania.

– Tak.

– Dlaczego pan o to pyta? Och, już wiem. Chodzi o Rafe'a, mam rację?

Tego się obawiałam.

Obawiała się? Była to interesująca informacja.

– Tak. Rafe'a Davisa. Czy tak się nazywał, kiedy się spiknęliście?

Sophie zmarszczyła czoło. Joe uznał, że nie powinien tak ostro przypierać jej do muru. Miał czas. Dużo czasu. Tyle, ile było mu trzeba. Będąc na miejscu uniemożliwi tej kobiecie sprzedanie dalszych przedmiotów z chińskiej kolekcji.

Miał obok siebie Sophie Bayard. Pod ręką.

Ni stąd, ni zowąd stanęło mu przed oczyma długie, opalone ciało tej kobiety, rozciągnięte na pogniecionej pościeli, z aureolą złotych włosów rozrzuconych na poduszce i parą zamglonych, spoglądających na niego mało przytomnie szarzielonych oczu.

– Rafe i ja... – zaczęła niepewnym głosem. – Byliśmy... Nie mam się czym chwalić...

Więcej Joe nie usłyszał, gdyż właśnie w tej chwili z pokoju po drugiej stronie holu dobiegł ich dziecięcy płacz. Sophie zerwała się z krzesła i jak szalona wypadła z kuchni. Tuż za nią ruszył Joe.

– Do diabła, człowieku – sfrustrowany mruknął do siebie pod nosem – a już byłeś tak blisko!

Więcej nie wrócili do tego tematu. Zanim Iris została nakarmiona i przewinięta, Sophie była niemal we łzach.

– Czy ona nie moczy się za często? – ze zgnębianą miną pytała Joego. – Skąd mam wiedzieć, że jest już najedzona? Nikt mi nie mówił, że od karmienia bolą piersi. Jestem pewna, że porobią się na nich pęcherze. Jak pan sądzi, czy to możliwe? Pielęgniarka twierdziła, że powinnam... – nabrała powietrza. – Pewnie wszystko będzie w porządku. Muszę się tylko przyzwycząić.

Joe poczuł zakłopotanie. Sophie chyba też. Na żadne z zadanych mu pytań nie potrafił odpowiedzieć. Im dłużej przebywał w pobliżu tej kobiety,

tym gromadziło się ich więcej. Oto jak mężczyzna, który uważa się za człowieka bądź co bądź cywilizowanego, zachowuje się w obecności świeżo upieczonej matki. Nie wie nic. Jest ciemny jak tabaka w rogu.

Sophie z dzieckiem na rękę usiadła w fotelu na biegunach. Niemowlę kwiliło, a ona coś mu cichutko nuciła. Wyglądała tak bezradnie i nieszczęśliwie, że sumienie nie pozwoliło Joemu wypytywać ją o skradzioną kolekcję.

Przyrzekł sobie, że zrobi to jutro. Dotrze do sedna sprawy, zabierze przedmioty, których Sophie nie zdążyła upłynnić, i opuści na zawsze jej dom.

Zostawi tę kobietę samą sobie. Nie mógł dłużej przy niej tkwić. Miał przecież własne życie. Rzucił czynną służbę w policji i musiał się zdecydować, co robić dalej. Chodziło mu po głowie otworzenie agencji ochrony mienia. Ale teraz, gdy był już po czterdziestce, perspektywa stałej i ciężkiej pracy wydawała mu się znacznie mniej atrakcyjna niż przed laty.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Straciłam stałą pracę w banku. Powiedziano mi, że muszą zredukować personel, ale jestem przekonana, że nie to było przyczyną mojego zwolnienia. Kiedy przychodził Rafe, żeby zabrać mnie na lunch, miał zwyczaj kręcić się po sali. No i wtedy, kiedy wyszła na jaw ta mało przyjemna sprawa...

Mało przyjemna? Tylko tyle? Sophie Bayard miała prawdziwy talent do niedomówień.

Joe wziął do ręki następną grzanekę. Zastanawiał się, co to za firma bez ważnego powodu wyrzuca z pracy ciężarną, samotną kobietę.

– A więc zredukowano personel i straciła pani pracę w banku – podsumował. – Co było potem?

– Komorne za mieszkanie miałam zapłacone do końca miesiąca. Uprzedziłam, że się wyprowadzam. Zaczęłam szukać nowej pracy i innego lokum. Niestety, nikt nie miał ochoty zatrudnić kobiety, która za parę miesięcy zażąda macierzyńskiego urlopu. To zrozumiałe. Nie mogę mieć o to do nikogo pretensji.

Jasne. Joe rozumiał potencjalnych pracodawców Sophie. Całą winą obarczał jedynie łajdaka, który tej kobiecie zafundował dziecko, a potem się zmył, zostawiając ją na lodzie. Jeśli tym człowiekiem był Rafe Davis, prawo nie było w stanie już go dosięgnąć. Ale jeśli ojcem małej Iris jest ktoś inny, zdaniem Joego powinien za to drogo zapłacić.

Nie po to jednak Joe znalazł się dziś u Sophie Bayard, żeby zajmować się jej osobistymi sprawami.

– Jak to się stało, że wynajęła pani cały dom, a nie skromne mieszkanie? Czy to nie za duże finansowe obciążenie dla samotnej kobiety bez środków do życia i perspektywy rychłej pracy?

Musiało to być dla niej przykre pytanie, uznał Joe. Na odpowiedź czekał spokojnie, ukradkiem przyglądając się Sophie. Lekko zezowała za każdym razem, gdy usiłowała się na czymś skoncentrować. Zauważył to już przedtem. W tak krótkim czasie zdążył już nieźle poznać tę kobietę.

– Wtedy akurat weszłam w posiadanie sporej gotówki – wyjaśniła po chwili. – Znajoma agentka od nieruchomości, moja była sąsiadka, opowiedziała mi o tym domu. Była możliwość wynajęcia go oraz uzyskania prawa pierwokupu z chwilą, gdy zostaną ostatecznie wyjaśnione sprawy spadkowe. Posiadanie domu to dobra inwestycja, a życie na wsi jest tańsze niż w mieście.

Cwana była ta agentka, ocenił Joe. Jakoś zapomniała wspomnieć Sophie o takich drobiazgach, jak czekający ją podatek od nieruchomości, ubezpieczenie i koszt położenia nowego dachu. Zdążył się już przekonać, dlaczego w tym domu nie są używane pokoje na piętrze.

– Jasne – mruknął z powątpiewaniem w głosie.

Sophie nie zwróciła na to uwagi i zaczęła z ożywieniem opowiadać, jak zamierza urządzić ogród i założyć hodowlę kur. Joe miał niejasne podejrzenia, że plany te były wszystkim, czego na przyszłość mogła się ucześcić. Dlatego tak chętnie rozwodziła się na ten temat.

Zanim udało mu się ponownie skierować rozmowę na sprawę gotówki, w której posiadanie „akurat weszła” Sophie Bayard, z pokoju po drugiej stronie holu dobiegł głośny płacz.

A więc ta kobieta po trochu wyprzedaje chińską kolekcję, uznał Joe. Łatwo było się tego domyślić. Aby wpłacić zaliczkę na dom, musiała zacząć upłynniać bezcenne dzieła sztuki. Ilu z nich zdążyła się już pozbyć? I w jaki sposób, do licha, uda mu się je odzyskać? zapytywał sam siebie, zgnębiony.

Przejmie dom Sophie Bayard? Przecież jeszcze nawet nie stał się jej własnością.

Przez cały czas zastanawiając się, co robić dalej, Joe skończył pić kawę, splótł dłonie nad głową i przeciągnął się, a potem odniósł filiżankę do zlewu. Z dziecinnego pokoju docierał do jego uszu uspokajający kobiecy głos. Słyszał krzyki niemowlaka, a także odgłosy otwieranych i zamykanych szuflad.

Rozmyślnie nie poszedł za Sophie. Nie chciał być świadkiem karmienia przez nią dziecka. Istnieje przecież granica intymności, której kobieta i mężczyzna, praktycznie sobie obcy, przekraczać nie powinni.

Joe wyszedł przed dom i z telefonu w furgonetcie zadzwonił do babki. Początkowo miał zamiar skontaktować się z nią dopiero wtedy, kiedy dowie się czegoś konkretnego, ale po namyśle zmienił zamiar. Martwił się o starszą panią. Fizycznie trzymała się nieźle, mimo wylewu przebytego ostatniej zimy, ale psychicznie jej stan pozostawiał coraz więcej do życzenia.

– Cześć, kochana – przywitał babkę. – Czy aby nie oderwałem cię od jakiegoś ważnego zajęcia?

– Nie. Leżałam sobie. Jesteś już w drodze powrotnej? Znalazłeś kolekcję?

– Tak, ale są pewne kłopoty.

– Ach, tak.

Powiedziała tylko tyle. Spokojnym głosem, dziwnie obojętnym. Było to zupełnie do niej niepodobne, gdyż zawsze żywo interesowała się wszystkim, co działo się wokół niej. Ostatnim razem gdy dzwonił, Donna przekazała mu, że babka Emma spała przez pół dnia. Nie poszła nawet do kościoła. Donna uważała, że staruszka popada w coraz głębszą depresję.

Joe nie potrafił stwierdzić, czy to prawda, ale bardzo dobrze znał swoją babkę. Skończyła wprawdzie osiemdziesiąt trzy lata, ale duchem była nadal

młoda. To jedyna osoba na świecie, która zdołała dotrzeć do wnuka, przełamując jego wewnętrzne opory. Uczyniła coś, co nigdy nie udało się jego własnej matce z bardzo prozaicznego powodu. Była zbyt zajęta zatrutowaniem życia własnemu mężowi. A inna kobieta w życiu Joego, jego była żona, Leeza, nigdy nawet nie próbowała mu pomóc.

Zawsze bardzo lubił babkę Emmę i darzył ją ogromnym szacunkiem. Odkąd u niej zamieszkał, zżyli się jeszcze bardziej.

– Dziecko bardzo ją teraz absorbuje – powiedział do słuchawki, mając na myśli Sophie Bayard. – Usiłuje nauczyć niemowlaka, że w nocy należy spać. Sama wiesz, jak to jest.

– Miałam tylko jedno dziecko – odparła babka Emma. – Twojego ojca. I nie zanoszę się na to, aby jego potomstwo spełniło swój obowiązek wobec społeczeństwa i pozakładało rodziny.

Przytyk był wyraźny. Na czoło Joego wystąpiły krople potu, i to nie tylko z powodu gorąca panującego w samochodzie. Zawsze, kiedy wywierano na niego presję, zwłaszcza gdy czyniła to babka Emma, czuł się okropnie.

– Zadzwoń do muzeum i powiedz, że wkrótce dostarczymy im kolekcję. No, może nieco zubożoną o jeden przedmiot lub dwa. Dam znać, kiedy dowiem się, czego brakuje.

Joe niemal pragnął, aby babka zdenerwowała się całą tą sprawą, ale Emma nie odezwała się ani słowem. A przecież chińska kolekcja była jej oczkiem w głowie. Niemal cały rok czekała na chwilę oddania rodzinnego skarbu do muzeum i marzyła o tym, żeby go tam obejrzeć, opatrzonego tabliczką: „Ze zbiorów Jonathana Josepha Dany”. A teraz nawet na tym przestało babce zależeć! Joe na dobre się zaniepokoił.

Z drugiej strony jednak pamiętał, jak swego czasu babka Emma obsztorcowała dziadka Jonathana za to, że wydał osiemdziesiąt tysięcy

dolarów na małą chińską nefrytową tackę. „Dlaczego jak normalny, rozsądny mężczyzna nie pójdziesz z wędką na ryby lub nie poplirtujesz z kobietami, zamiast zajmować się kolekcjonowaniem staroci?” mówiła do niego. Joe pamiętał, że dziadek, nie zważając na utyskiwania żony, wygłosił wykład na temat chińskich dynastii i wiążących się z nimi legend. Musiała przywołać go do porządku.

Jonathan Dana wydawał pieniądze uczciwie zarobione na ropie przez jego własną rodzinę, ale fakt ten zdawał się nie docierać do drobnutkiej, siwowłosej damy, która żelazną ręką rządziła całym domem.

Joe zamyślił się głęboko. Dziadkowie wywarli największy wpływ na jego życie. Wszystko właśnie im zawdzięczał.

Po nagłej śmierci rodziców Emma i Jonathan wzięli na wychowanie całą trójkę sierot. Joe miał wówczas jedenaście lat, Donna była zaledwie dwuletnim dzieckiem, a Daisy trzyletnim. W owym czasie ich rodzice byli w przededniu rozwodu, na który od dawna się zanosilo.

Joe policzył szybko, że od tamtej pory upłynęło dwadzieścia siedem lat. Dziś Daisy rozchodziła się z trzecim mężem, a Donna, mając akurat przerwę między małżeństwami, studiowała na następnym uniwersyteckim wydziale i swoim postępowaniem doprowadzała babkę Emmę do białej gorączki.

Joe też przeżył swoje. Nieudane małżeństwo i prywatną wojnę z butelką. W jego niespokojnej egzystencji istniał jeden jedyny stały punkt psychicznego oparcia. Babka Emma. Był także dziadek Johnnie, ale to starsza pani stała się gwiazdą przewodnią i żyroskopem nadającym kurs całej trójce rodzeństwa dopóty, dopóki nie ruszyło w świat, żeby dokumentnie zmarnować sobie życie.

Joe westchnął głęboko. Rozbolało go kolano. Ostatnia prognoza pogody, którą słyszał, zapowiadała nadejście fali nawałnic z tropikalnym niżem. Dla

Joego nie była to miła wiadomość. Kolano reagowało bólem na wilgoć w powietrzu.

Wrócił do domu i cicho, na palcach, podszedł do drzwi dzieciennego pokoju. Wsunął głowę do środka. Sophie siedziała na fotelu na biegunach, trzymając niemowlę przy piersi. Jej głowa spoczywała na poduszce wsuniętej pod kark.

Przez chwilę Joe miał ochotę wziąć matkę z córką na ręce i zanieść je do łóżka. Wrócił jednak do kuchni i zabrał się do systematycznego przeszukiwania całego pomieszczenia.

W szafie na szczotki znalazł worek ze szmatami, deskę do prasowania i cały arsenał środków czystości. Wyciągnął worek. Z niesmakiem przeszukał zawartość. Był prawie przekonany, że niczego tu nie znajdzie, lecz uważał, że z kobietami nigdy nic nie wiadomo.

Usłyszał głos Sophie:

– Joe, czy możesz przynieść mi mokry ręcznik z łazienki? – zawołała z dzieciennego pokoju. Joe uznał za naturalne, że zwróciła się do niego po imieniu.

– Oczywiście.

Najpierw musiał znaleźć ręcznik. Potem go zmoczyć. A jeszcze później wziąć się w garść i pójść do pokoju, w którym Sophie się znajdowała. Trzymając ręcznik ociekający wodą i starając się nie pochłapać podłogi, ramieniem otworzył drzwi.

Sophie siedziała dokładnie tam, gdzie widział ją poprzednio. W fotelu na biegunach, z Iris śpiącą przy obnażonej piersi. Okryła ją wprawdzie kocykiem dziecka, ale cienka flanelka, drukowana w króliczki, nie przesłoniła Joemu widoku, który na zawsze wyrył się w jego pamięci.

Jasnozłote włosy podświetlone z tyłu wczesnoporannym słońcem. Gęste, jasne rzęsy opadające na policzki jak maleńkie falbanki. Złocista skóra. Mocne ramiona, długie nogi i gładka szyja. A twarz...

Stanowczo za bardzo pochłaniał go widok tej kobiety.

Odchrząknął. Sophie otworzyła oczy.

– Och, czyżbym znów się zdrzemnęła? Niewiele spałam tej nocy.

Joe też tak sądził. Wczoraj wrócił do hotelu, przespał się, spakował swoje manatki i zanim wstało słońce, zjawił się przed domem Sophie Bayard. Usiadł na werandzie na ławce i spokojnie czekał, aż w domu zacznie się jakiś ruch.

– Muszę się wytrzeć – oznajmiła. – Chyba coś robię niewłaściwie. Już po raz drugi Iris zwymiotowała na mnie całe jedzenie. Byłam przekonana, że pokarm matki jest idealnie strawny dla dziecka.

Joe popatrzył na Sophie. Zobaczył rumieńce na policzkach, a także obnażone ramię widoczne pod odchyloną połą szlafroka. Pokój pachniał dziecięcą zasypką i białym serem. Nie był to zapach mogący wzbudzić męskie pożądanie. Na widok matki z niemowlęciem na ręku Joe zaczął się więc zastanawiać, czy przypadkiem nie odezwał się w nim jakiś głęboko ukryty ojcowski instynkt. Gdyby babka Emma o tym się dowiedziała, miałaby się z pyszna.

– Joe?

– Słucham.

– Potrzyмай małą przez chwilę, a ja się wytrę. – Sophie podniosła się z fotela i podała Joemu dziecko. – W poradniku piszą, że jeśli uda mi się sprawić, by Iris w ciągu dnia dłużej czuwała, to będzie lepiej spała w nocy. Nie miałabym jednak serca, żeby ją celowo rozbudzać.

– Z wszystkimi niemowlakami jest taki sam kłopot. Iris też się z tym upora – oznajmił Joe tak, jakby wiedział to na pewno i był ekspertem od

pielęgnacji i karmienia niemowląt. Obie jego siostry miały w sumie aż pięciu mężów, ale nie dorobiły się ani jednego dziecka. Podobnie jak on sam. Parę razy w życiu zdarzyło mu się znajdować w podbramkowych sytuacjach, ale, o ile było mu wiadomo, ojcem nigdy nie został. Bardzo uważał, żeby tak się nie stało.

Spoglądając teraz na maleństwo z czerwoną buźką, które właśnie wlepiało w niego ślepka, poczuł dziwny skurcz w dole brzucha. Uznał, że to skutek pizzy zjedzonej na śniadanie.

– Dzisiaj wygląda lepiej – powiedział do Sophie.

Mokrym ręcznikiem wytarła ramię i okryła je odchyłoną połę szlafroka.

– Co masz na myśli? Czyżby wczoraj wyglądała źle? – spytała z niepokojem.

– Sama musiałaś zauważyć, że wczoraj miała zapuchniętą buźkę. Zauważyłaś, że ma niebieskie oczy?

– Oczywiście. Wszystkie niemowlęta rodzą się z niebieskimi oczyma. Potem kolor może się zmienić. A poza tym Iris wcale nie miała zapuchniętej buzi, tylko lekko obrzmiała.

– Jasne. Teraz, gdy to powiedziałaś, widzę różnicę.

Zwinęła brudny ręcznik i rzuciła na dziecinne prześcieradełko, przeznaczone do uprania. Joe uznał, że z powodzeniem mogła dorzucić na ów stos również swój szlafrok. W miarę upływu czasu skwaśniałe mleko nie nabiera przyjemnego zapachu.

– Gdy tylko coś na siebie włożę, wezmę się do prania – oświadczyła. – Niech to słońce poświeci jeszcze przez parę godzin.

Joe trzymał dziecko w zagięciu ramienia. Mrugało oczkami jak mała sówka. Sophie, przyglądając się obojgu, uznała, że jest to najmiłszy obrazek, jaki kiedykolwiek widziała. Silny, barczysty mężczyzna w dżinsach, długich

butach i pogniecionej koszuli barwy khaki, trzymający na rękach nowo narodzone dziecko.

Joe podniósł wzrok.

– Sądziś, że to rozsądne, abyś zabierała się do prania? Czy to nie za wcześnie? Sądziłem, że po porodzie kobiety powinny wypoczywać przez parę dni.

– Pomysł świetny, lecz mało realny.

– Umiem uruchomić pralkę.

– Nie stać mnie na to, żeby cię zatrudnić. W dzisiejszych czasach gosposie to prawdziwy luksus. Nie jestem do nich przyzwyczajona.

– Może wpadnie ci trochę grosza. – Joe zawiesił głos i uniósł brwi. Czekał, co usłyszy.

– Liczę na to, ale te pieniądze mają już swoje przeznaczenie.

– Może trochę ci zostanie i będziesz mogła kupić sobie suszarkę.

– I może wystarczy na wykupienie z warsztatu mojego samochodu.

– Całkiem zapomniałem, że jesteś pozbawiona środka lokomocji. Jak sobie poradzisz, jeśli nagle będziesz musiała dokądś jechać?

Sophie westchnęła. O takiej ewentualności myślała z przerażeniem, przez pół nocy leżąc bezsennie w łóżku. Jej wiedza o niemowlakach była bliska zeru. Na wsi, z dala od innych ludzi, zawsze mogło się wydarzyć coś nieprzewidzianego, a ona nie miała do kogo zwrócić się o radę. Przez chwilę myślała o aniołach stróżach. Zastanawiała się, czy pojawiają się pod postacią byłych policjantów z Teksasu.

– Joe – odezwała się miękkim głosem. – Co ty tu właściwie robisz? Zjawileś się tylko po to, żeby o coś mnie zapytać, i zostałeś. Ile to dni upłynęło od tamtej pory? Dwa? Nie, trzy. Ile czasu potrzeba ci na zadanie prostego pytania?

Iris zasnęła w ramionach Joego. Nie chciał ryzykować jej rozbudzenia.' Niedawno przewinięta, była zadowolona z życia, ale przeczuwał, że spokój w domu nie potrwa długo. Musiał więc dobrze wykorzystać tę sytuację.

Włożył dziecko do łóżeczka i nakrył je kocykiem. Dotykając malutkiego, ciepłego ciała, poczuł dziwną czułość. Na szczęście szybko zorientował się, co się z nim dzieje, i wziął się w garść. Takie beznadziejnie głupie odczucie może wpędzić każdego faceta w poważne kłopoty, jeśli mu się szybko nie oprze.

– A więc dobrze – zaczął, krzyżując ręce na piersiach. – Jestem tu po to, żeby zadać ci pewne pytanie. I próbuję to zrobić, ale za każdym razem coś lub ktoś przeszkadza nam w rozmowie. Najczęściej panna Tłuscioszka. Nie możemy się skupić na temacie.

– Pozwól, że włożę na siebie coś suchego i uruchomię pralkę. Zaraz potem przyjdę do ciebie do kuchni i będziesz mógł mnie pytać, o co tylko zechcesz, a ja odpowiem ci najlepiej, jak tylko potrafię. Sądzę, że wiem, o co chodzi.

Naprawdę wiedziała?

Jasne. Przecież była winowajczynią. Każdy by to przyznał. Dała ogłoszenie o sprzedaży do fachowego czasopisma dla antykwariuszy i pośredników w handlu dziełami sztuki. Musiała zdawać sobie sprawę z tego, że taka informacja trafi do wielu zainteresowanych. Jako bystra paserka dysponowała z pewnością wykazem nazwisk prywatnych kolekcjonerów.

Pewnie była sprytna, ale Davis okazał się od niej o niebo lepszy. W każdym razie ten człowiek nabrał Donnę, a ona w rodzinie Danów uchodziła za osobę niezwykle mądrą.

Dziesięć minut później Sophie weszła do kuchni. Joe przyglądał się, jak napełnia czajnik, by zagotować wodę do zaparzenia kawy, wyjmując z kredensu

filiżanki i nakłada na talerz czekoladowe pączki. Obserwowanie jej ruchów sprawiało mu dużą przyjemność. Wyglądała tak, jakby jeszcze do końca nie odzyskała równowagi ciała po pozbyciu się solidnego ciężaru. Miała swoistą grację. Zdaniem Joego, była ogromnie kobieca.

– Ktoś grzebał w mojej szafie w sypialni – oznajmiła. – Od razu się zorientowałam, bo sama zawsze tak luźno układam rzeczy, żeby się nie pogniotły. Czy to ty?

Jeszcze przed porodem, zanim zawiózł ją do szpitala, Joe w pośpiechu przeszukał szafę, komodę, półki z książkami i pamięć komputera na twardym dysku. Usłyszawszy pytanie Sophie, nieco się speszył.

– Tak, to ja.

– Odkryłeś to, na czym ci zależało?

– Odkryłem, że lubisz Szopena, czekoladki i krzyżówki. Nosisz ubrania o rozmiarze dwunastym, zaś buty numer dziewięć. Twoja lewa stopa jest większa niż prawa. – Na twarzy Sophie odmalowało się zdumienie. – Ale tego, czego szukałem, nie udało mi się znaleźć. Sophie, gdzie to jest?

Przed chwilą wyglądała na senną, delikatną i słodką. Teraz wyraz jej twarzy zupełnie się zmienił. Zesztywniała. Miała się na baczności.

– Nie wiem, czego szukałeś – oznajmiła oschłym tonem. – Jeśli powiesz, o co chodzi, być może pomogę ci to znaleźć.

– Dziękuję. Szukam czegoś, co jest własnością mojej babki i co skradziono z mieszkania mojej siostry w przeddzień zabrania na wystawę w Muzeum Garlanda w Fort Worth.

Sophie wyglądała na tak przerażoną, że Joe niemal pożałował, że w ogóle o tym jej powiedział. Zupełnie nie pojmował przyczyny takiej reakcji.

– W Fort Worth w Teksasie?

– Tak.

– Ale... ale skąd przyszło ci do głowy szukanie tego w moim domu?
Nigdy nie byłam w Teksasie.

– Przestań kręcić. Przecież już ustaliliśmy twoje powiązania z Davisem.
Wyjaśnijmy więc do końca całą tę sprawę.

Pod opalenizną Sophie zrobiła się blada jak ściana. Nie zwróciła uwagi na gotującą się wodę w czajniku.

– On przecież nie żyje – wyszeptała zbielełymi wargami. – Nie wiem, co jeszcze mogłabym ci o nim powiedzieć. Ja... ja wcale go dobrze nie znałam.

– Wystarczająco – z sarkazmem mruknął Joe. Sophie opadła ciężko na krzesło.

– Nie rozumiem, dlaczego zadajesz mi te pytania. Wszystko, co wiem, powiedziałam już policji.

– W jaki sposób cię nakryli?

– Nakryli mnie, jak ty to powiedziałeś – powiedziała ostrym tonem – żeby... żeby zawiadomić o samochodzie.

– Nie rozumiem. O czym ty mówisz? Zechciej mi wyjaśnić.

Joe podniósł się z miejsca, podszedł do kuchenki i zdjął czajnik z ognia. Wyłączył palnik. W kuchni zapanowała cisza. Za oknem słońce zaszło za chmury. W pomieszczeniu obok pralka przełączyła się automatycznie na inny program.

Sophie wstała. Stała przy zlewie i zaczęła machinalnie przestawiać włożone tam naczynia.

– Mój samochód uległ wypadkowi. Został skasowany. Rafe zabrał go i wyjechał z miasta, a potem miał kraksę. Wpadł pod pociąg. O tym, że skradziono mi samochód, od razu zawiadomiłam, oczywiście, policję, jeszcze zanim do mnie dotarło, kto go zabrał. Gdy się domyśliłam, byłam tak wściekła

na Rafe'a, że kiedy dowiedziałam się o jego śmierci, nie uroniłam nawet jednej łzy.

Teraz wyglądała tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Dlatego że uznał ją za jeszcze jedną niewinną ofiarę oszusta, że łączyły ich silne przeżycia ostatnich dni i że chciał lepiej ją poznać, Joe popełnił błąd. Wziął Sophie w ramiona.

Zamiast go odepchnąć, ona też popełniła nieostrożność. Oparła głowę na silnym, męskim ramieniu.

Jak na bystrego faceta, zachowuję się głupio, pomyślał Joe.

– Muszę powiesić przed domem wyprane rzeczy – po chwili odezwała się Sophie.

Pogłaskał ją po plecach. Była rozgrzana. Roztaczała wokół siebie zapach szamponu, czekolady i dziecięcego pudru.

– Ja to zrobię – zaofiarował się – a ty odpocznij.

– Zanosi się na deszcz.

– Sophie, słuchaj, co do ciebie mówię.

– Przepraszam, ale nie mam na to ochoty.

Ale znów miała ochotę się rozplakać. Od razu to zauważył.

– Nie płacz, słonko. – Zaczynał być zły na siebie, że w ogóle zajął się sprawą odnalezienia kolekcji. A przynajmniej przypieraniem Sophie do muru. Należało z tym poczekać jeszcze parę dni, aż poczuje się lepiej.

– Wcale nie... nie płaczę. – Zaczęła głośno szlochać. – Już przestałam o nim myśleć. Muszę zapomnieć na dobre, że kiedykolwiek znałam tego łajdaka. Dostałam niezłą nauczkę.

Bez względu na to, ile i czego się nauczyła, nie przeszkadzało jej to szlochać na myśl o człowieku, którego chyba niewiele znała. Była bardzo nieostrożna. Joe postanowił, że zanim opuści Sophie, nauczy ją stosowania

podstawowych środków bezpieczeństwa. Na przykład takich, jak niewpuszczanie do domu, nawet za próg, obcych mężczyzn. Czy ta kobieta nie zdawała sobie sprawy z zagrożeń czyhających dziś z każdej strony na człowieka?

Sophie cofnęła się o krok. Podczas gdy Joe szukał w kieszeni chusteczki i modlił się, aby była czysta, urwała kawałek papierowego ręcznika i wytarła nim oczy i nos. Potem poszła do pomieszczenia znajdującego się obok kuchni i wyjęła z pralki bieliznę.

Szli razem. Joe niósł ciężki kosz, a Sophie woreczek z klipsami do mocowania bielizny na sznurze. Joe pomyślał o Dallas, o domu, w którym się wychował, i służbie. Zawsze dbała o to, aby na łóżkach leżała świeża pościel, aby czekał na niego czysty mundurek, obowiązujący w prywatnej szkole, do której uczęszczał, i żeby zawsze miał coś pożywnego do przekąszenia.

Czy kiedykolwiek przedtem zastanawiał się nad przemijaniem takich rzeczy? Chyba nie.

– Znosi się na deszcz – stwierdził, spojrzawszy na niebo.

– Wiem. Ale na powietrzu pranie szybciej wyschnie niż w pomieszczeniu obok kuchni. Joe, nie zdążyłeś jeszcze mi powiedzieć, czego właściwie szukasz. Czy... czy może chodzi o... wazę?

– Tak. Ch'ien Lung. Zaraz pokażę ci jej zdjęcie.

Przywiózł z sobą stare fotografie całej kolekcji. Mimo że kiepskie technicznie, były lepsze niż opis słowny. Bo co mógłby, na przykład, powiedzieć o wazie? Że to zielone naczynie, niespecjalnie duże, i, jak na jego gust, dość brzydkie.

Sophie wzięła pusty kosz i wróciła do domu. Joe poszedł do furgonetki. Zza siedzenia kierowcy wyjął torbę podróżną. Po chwili znalazł się w kuchni.

– Mała trochę marudziła – oznajmiła Sophie. – Ale chyba teraz będzie spokojna.

Otworzył torbę. Na wierzchu leżały brudne koszule. Musiał je wyjąć wraz z resztą innych rzeczy, gdyż zdjęcia kolekcji włożył na samo dno, żeby się nie pogniotły. Wyciągnął rękę w stronę Sophie.

– Spójrz na te fotografie i...

– Powinieneś od razu przynieść swoje rzeczy. Uprałabym je wraz z moimi.

– To nie miałyby sensu. Dla mnie to żaden problem. Kiedy brakuje mi czystych rzeczy, zatrzymuję się po drodze przy jakiejś samoobsługowej pralni.

– Ale...

– Oto zdjęcia tych przedmiotów. Wszystkie razem tworzą kolekcję Jonathana Josepha Dany. Jest ich czternaście.

Sophie wyglądała na wstrząśniętą. Brała do ręki jedną fotografię po drugiej, przyglądała się im uważnie i czytała zamieszczone na odwrocie szczegółowe opisy każdej pozycji. Podano tam także szacunkowe wartości przedmiotów, będące podstawą ubezpieczenia.

– No więc? – zapytał Joe.

Nie spuszczał wzroku z Sophie. Wiedział, że teraz już mu się nie wywinie. Przedmiot, który wymieniła w ogłoszeniu, nosił numer 339. Była to chińska waza. Bładozielona, z rudymi żyłkami i z wyrzeźbionym na niej ornamentem w postaci smoków i kwiatów lotosu.

Zza pleców usłyszał głos Sophie. Brzmiał zaczepnie.

– No więc? – powtórzyła jego słowa.

– Słuchaj – zaczął – widziałem twoje ogłoszenie. Było wielkim błędem zamieszczać je w czasopiśmie o tak szerokim zasięgu. Czy nie wiesz, że każdy

komisariat policji w całym kraju ma dostęp do informacji o skradzionych dziełach sztuki?

– Nie ukradłam tej wazy. Otrzymałam ją w prezencie.

Na widok rozpaczy w oczach Sophie Joe znów żałował, że sprawy odnalezienia cennej kolekcji nie pozostawił firmie ubezpieczeniowej. Zatrudniała doświadczonych detektywów, którzy równie łatwo jak on dotarliby do skradzionych przedmiotów. I nie wplątali się w żadne osobiste historie.

– Moim jedynym błędem było to, że dałam się zwieść temu nikczemnikowi. Wierz mi, to nie powtórzy się nigdy więcej.

– Cieszę się. Masz teraz kogoś innego, o kim powinnaś myśleć. Zanim wyjadę, zadzwonię do ślusarza, żeby...

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie. Dziękuję. Jeśli będzie mi potrzebny ślusarz, sama się z nim skontaktuję.

Joe zupełnie nie pojmował zachowania tej kobiety. Czy nie zdawała sobie sprawy z tego, że oskarży ją o paserstwo lub nawet współudział w kradzieży? Mógł oficjalnie ją przesłuchać. Nie miał wprawdzie stosownych uprawnień do działania w Północnej Karolinie, a teraz już i w Teksasie, ale kontakty pozostały i bez trudu mógł to załatwić.

– Ile przedmiotów należących do kolekcji zdążyłaś już sprzedać? – zapytał znużonym głosem.

– Nie muszę nic mówić.

– Sophie, nie utrudniaj mi zadania.

– Dlaczego w ogóle mam z tobą rozmawiać? Wtargnąłeś do mojego ogrodu wprost z ulicy. Jesteś zupełnie obcym człowiekiem... – powiedziała

takim tonem, jakby była to największa zbrodnia. – I oświadczyłeś, że chcesz mi zabrać zaręczynowy prezent. Dlaczego...

– Zaręczynowy prezent?

– Tak! Tak przynajmniej mi powiedziano. A zanim znów się odezwiesz, łaskawie sobie przypomnij, jak ostrzegałeś mnie przed nieznajomymi. Jesteś obcy i nie zamierzam niczego ci dawać. Takie fotografie można kupować na pęczki w każdym muzeum. W sklepie z pamiątkami.

Zafrasowany Joe przeciągnął ręką po włosach.

– Słuchaj, Sophie...

– Nie! To ty posłuchaj! – niemal krzyknęła. – Przez całe życie byłam nieudacznicą. I...

– Nieudacznicą?

– Tak. To rodzaj żeński utworzony od wyrazu: nieudacznik. Oznacza kobietę, której nic nie wychodzi. Nigdy nie byłam bystra ani ładna. W szkole zawsze mnie karano za wybryki kolegów. „Biedna ta Sophie”, mówiono z politowaniem. „Za głupia, żeby wiedzieć, kiedy uciekać.”

Joe sięgnął nad stołem i dotknął jej ramienia, ale gwałtownie wyszarpnęła rękę.

– No więc biedna Sophie – ciągnęła – została jeszcze raz przyłapana na gorącym uczynku. Nikt już jej nie pomoże. Jest zupełnie sama. Zabieraj więc te piekielne fotografie, wracaj do Teksasu i...

Joe podniósł się powoli. Nalał kawy do obu filiżanek, do jednej dodał sporą porcję śmietanki i postawił ją przed Sophie.

– Wypij – powiedział.

– Chyba nie powinnam pić zbyt wiele kawy, kiedy karmię piersią. To może kofeina sprawiła, że Iris źle spała poprzedniej nocy.

– Tej nocy się o tym przekonamy. Kupię ci trochę bezkofeinowej kawy.

– Tej nocy już cię tu nie będzie.

– A jakże, będę, i zanim znów zaczniesz swoją przemowę, wiedz, że mnie się nie pozbędziesz. Zajmuję sypialnię na piętrze, nie zważając na przeciekający dach. – W jednej chwili powziął tę decyzję. – Zapłacę ci tyle samo, co za pokój w hotelu. Tutaj będzie mi znacznie wygodniej. A ponadto, zanim ruszę w drogę powrotną, muszę solidnie wypocząć. Na temat kolekcji dziadka nie zacznę mówić dopóty, dopóki ty sama nie będziesz gotowa o niej rozmawiać, ale...

– Ha! Najpierw oświadczyłeś, że te przedmioty należą do twojej babki, a teraz mówisz, że do dziadka. Zdecyduj się wreszcie. To wszystko się kupy nie trzyma.

W tym momencie za oknem rozległ się głośny grzmot. Silne podmuchy wiatru cisnęły o szyby pierwszymi kroplami deszczu.

– Och, do licha! – jęknęła Sophie.

Joe zerwał się z miejsca. Nie pozwolił jej wstać.

– Zostań. Ja się tym zajmę, a ty zatroszcz się o Iris. Grzmoty mogą ją przestraszyć.

Wybiegł z domu i w ulewnym deszczu zaczął ściągać ze sznura mokrą bieliznę.

A więc wreszcie odnalazł kolekcję.

Tylko dlaczego nie miał z tego powodu żadnej satysfakcji? Przeciwnie, czuł się okropnie. Jak to się stało, że tak długo ociągał się z załatwieniem całej sprawy, zamiast od razu zabrać to, po co przyjechał, i bez zwłoki ruszać w drogę powrotną do Teksasu? Wprawdzie chińska kolekcja nie była kompletna, brakowało jednego lub dwóch przedmiotów, ale to, co pozostało, z powodzeniem nadawało się do wystawienia w muzeum. Joe pomyślał o Sophie Bayard. O tym, co zrobiła, a przede wszystkim dlaczego. Zaczęła sztuka po

sztuce wyprzedawać nefrytowe przedmioty, bo miała do wyboru albo życie bez dachu nad głową i bez pracy, a za to z nowo narodzonym dzieckiem, albo własny dom, umożliwiający stworzenie małej Iris przyzwoitych warunków egzystencji.

Z punktu widzenia przyszłych losów Sophie Bayard i jej córeczki nefrytowe przedmioty miały więc ogromną wartość. Czy nie znacznie większą niż dla babki Emmy, gdyby jako wystawowe eksponaty spoczywały w muzealnej sali?

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Malutka Iris uwielbiała grzmoty. Nie lubiła natomiast śpiewania Joego. Dwukrotnie, gdy się do tego zabierał, kiedy Sophie znajdowała się w drugim pokoju, dziewczynka od razu wykrzywiła buźkę.

Odgłosy burzy sprawiały jej prawdziwą przyjemność. Jej oczy robiły się ogromne. Zwracała je w stronę, z której rozlegały się grzmoty, i miała tak zachwyconą minę, jakby cała burza była jednym wielkim, specjalnie dla niej zaaranżowanym przedstawieniem. Joe mógłby przysiąc, że Iris uśmiechnęła się raz czy dwa, ale Sophie z miejsca oświadczyła, że to niemożliwe, bo tak małe niemowlaki jeszcze się nie śmieją.

– Byłem przekonany, że dzieci boją się hałasu – powiedział Joe.

– Nauczyli je tego dorośli. Ja nie zamierzam popełnić takiego błędu.

– Sophie, zastanów się. – Joe przeniósł dla siebie krzesło z saloniku do dzieciennego pokoju, gdzie przez cały czas Sophie urzędowała obok dziecka. Żadne z nich nie poruszało tematu nefrytowej kolekcji. – Za oknami bywa piekielnie głośno, a zarazem niebezpiecznie. Dziecko, które o tym nie wie, może zginąć.

– Ile osób ginie co roku od uderzenia pioruna? – spytała nieoczekiwanie Sophie.

– Nie mam pojęcia. Ile?

– Niewiele. Większość z nich ginie podczas gry w golfa. A więc pouczę Iris, żeby darowała sobie tę zabawę, i nic się jej nie stanie.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście. Trochę czytałam na temat naturalnych niebezpieczeństw.

A czy wiesz, ilu ludzi ginie corocznie od ugryzienia węża?

– Czyżbyś zamierzała zataić przed Iris istnienie węży?

– Jasne, że nie. Powiem jej o nich, podobnie jak o psach, kotach, ptakach, szopach i...

– Wspaniale.

– Czy już pora lunchu?

– Niedawno jedliśmy śniadanie. – Joe robił to po raz drugi od rana.

– Umieram z głodu.

Od tych domowych, bezpośrednich rozmów w atmosferze czterech ścian Joemu zaczynało kręcić się w głowie. Zapach kobiet i niemowląt potrafi zniweczyć mechanizm obronny każdego mężczyzny. Pierwszą rzeczą, jaką wtedy robi, jest rozglądanie się za kobietą dla siebie. A kiedy ją znajdzie, buduje gniazdko, żeby złożyła w nim i wysiedziała jajeczka.

On do tego nie dopuści.

Niedoczekanie.

Zjedli po dwie kanapki z pomidorem. Z prawdziwą przyjemnością Joe przyglądał się, z jakim apetytem i energią Sophie pochłania jedzenie. Ta kobieta wiedziała, czego chce. Joe zastanawiał się, co takiego widziała w Davisie. Bo temu, co on sam dostrzegał w Sophie, wcale się nie dziwił. Było to oczywiste... Miał przed sobą postawną, pięknie zbudowaną blondynkę, powolną w ruchach i mowie, o słodkim, rozbrajającym uśmiechu. Otwartą i bezpośrednią, o uczciwym spojrzeniu, co w istniejącej sytuacji było czystą ironią losu...

Widok ciała Sophie pobudzał zmysły Joego. Robiła na nim wrażenie jeszcze wtedy, gdy wyglądała jak słońca w dwunastym miesiącu ciąży. Znow musiał przywołać się do porządku i przypomnieć sobie, że nie zamierza wdawać się w bliższe stosunki z jakąkolwiek kobietą. Nie interesowały go żadne kontakty.

Za oknami padał ulewny deszcz. Wokół szalała burza. Zbyt wiele było wyładowań atmosferycznych w powietrzu, więc Joe nie zdecydował się telefonować do babki Emmy. Ostatnio, gdy do niej dzwonił, rozmawiała z nim bardzo obojętnie. Jego samego wprowadziło to w nastrój depresji, mimo że rzadko poddawał się takim stanom.

Nie był urodzonym optymistą, ale życie nauczyło go spokoju i opanowania. Taką reakcję Donna nazywała naukowo mechanizmem obronnym.

Wraz z Sophie siedzieli teraz w dzieciennym pokoju. O szyby uderzały krople deszczu. Iris przespała smacznie całe popołudnie. Sophie chciała ją obudzić, żeby upewnić się, czy wszystko jest z nią w porządku, ale Joemu udało się odwieść ją od tego niefortunnego pomysłu. W szafce kuchennej, w szufladzie pełnej przeróżnych rupieci, znalazł talię kart. Zwabił Sophie do saloniku.

Usiadła po turecku na podłodze, on zajął miejsce na kanapie. Musiał dbać o kolano. Uważał się za dżentelmena, ale jego ciało miało swoje potrzeby. Był to jeden z powodów, dla których przeszedł na wcześniejszą emeryturę, żeby założyć własną firmę, zamiast do końca życia tkwić przy biurku.

Potasował i rozdał karty.

– To brydż nowożeńców – oznajmił.

Sophie chciała się koniecznie dowiedzieć, skąd wzięła się ta nazwa i kto wymyślił ową grę. Grali przez jakiś czas zupełnie na luzie, śmiejąc się i żartując. Joe nie pozwalał sobie na żadne męskie dowcipy, gdyż w jakimś sensie Sophie przypominała mu babkę Emmę. Stara dama nigdy by mu nie darowała, gdyby się dowiedziała, że w obecności kobiety opowiedział mało przyzwoity dowcip.

Mieli mnóstwo czasu na rozmowę, ale żadne z nich nie poruszało sprawy chińskiej kolekcji.

Za kwadrans piąta zadzwonił telefon. Joe spoglądał właśnie na zegarek, uznając, że stracił cały dzień i nawet nie porozumiał się z babką.

– Nie podnoś słuchawki – poradził Sophie. – Odpowie twoja automatyczna sekretarka. Zarejestruje rozmowę.

Sophie pobiegła jednak do pokoju, w którym znajdował się telefon. Joe pomyślał, że przed wyjazdem będzie musiał zadbać o to, aby zainstalować drugi aparat w sypialni, obok łóżka.

– Słucham – odezwała się do słuchawki. – Chodzi panu o wazę? Nie, jeszcze nie jest sprzedana.

Niebo przecięła błyskawica. Zaraz po niej nastąpił głośny grzmot. Za plecami Sophie stanął Joe.

– Odłóż słuchawkę – polecił.

Nie zwróciła uwagi na jego słowa. Mówiła dalej:

– Jest bladozielona i... Tak. Mam kilka innych sztuk, które może pan sobie obejrzeć. Tak. Dobrze...

– Sophie, przerwij rozmowę! – syknął Joe.

– Mieszkam na wsi. Tuż przy drodze numer 158. Minie pan osadę Smith Grove, a potem... Nie. Nie wiem, ile to kilometrów, ale przy drodze zobaczy pan znak, który...

Joe wyjął słuchawkę z rąk Sophie i odłożył ją na widełki.

– Nigdy nie dawaj obcym swojego adresu – pouczył. –A w ogóle to nie rozmawiaj z nieznajomymi! Jeśli facet zadzwoni ponownie, nie podnoś słuchawki. Zrozumiałaś? Jeśli jest rzeczywiście zainteresowany, to jeszcze się odezwie.

A kiedy to zrobi, usłyszy od Joego, że waza nie jest na sprzedaż.

– Nie miałaś prawa...

– Miałem – odparł stanowczo. – Po pierwsze, nie należy używać telefonu podczas burzy, ze względu na wyładowania atmosferyczne. To niebezpieczne.

– Mówiłam ci, że nie boję się...

– A po drugie, ten przedmiot, o którym rozmawiałaś, nie jest na sprzedaż.

Ku zdumieniu Joego Sophie wpadła w prawdziwą furię. Jej oczy rzucały błyskawice.

– To mój zaręczynowy prezent! A to, że mój narzeczony okazał się łobuzem i nie doszło do ślubu, wcale nie oznacza, iż waza i reszta rzeczy przestały być moją własnością!

– Aha, więc chciałaś, żeby się z tobą ożenił? – kwaśno zapytał Joe.

– Tego nie powiedziałam.

– Iris to jego dziecko. Mam rację?

– Tego też nie mówiłam!

Sophie była rozłoszczona i zdenerwowana. Joe pomyślał, że to dobrze. Niech ma za swoje.

W tej samej chwili znów odezwał się telefon. Sophie sięgnęła po słuchawkę, ale Joe zacisnął rękę na przegubie jej ręki i przytrzymał ją za ramiona. Aparat dzwonił jeszcze siedem razy. Wreszcie zamilkł.

– Oj, Sophie, Sophie – szepnął Joe. – Przestań się stawiać.

– Oparła się ciężko o niego, tak jakby poczuła się pokonana. Joe wiedział jednak swoje. Wcale nie zamierzała się poddać. – Czeka nas poważna rozmowa.

Znów odezwał się telefon. Tym razem po szóstym dzwonku Joe podniósł słuchawkę. Po drugiej stronie linii odezwał się męski głos:

– Wiem, gdzie pani mieszka. Czy mogę jutro przyjechać?

- Nie. Tu nie ma niczego na sprzedaż. – W chwili gdy Joe odkładał słuchawkę, zgasło światło. – Wysiadł transformator – powiedział do Sophie.
- Wiem. – Była już opanowana. Jej głos brzmiał spokojnie.
- Ale podałaś swój adres nieznanemu, który... Przerwała mu ostro.
- Masz na myśli jeszcze jednego nieznanego? Tobie nie podałam adresu, a mimo to mnie odnalazłeś.

W zamyśleniu Joe potarł kark. Z jednej strony żałował, iż namówił zastępcę miejscowego szeryfa, żeby powiedział mu, gdzie mieszka Sophie Bayard. Z drugiej jednak nie potrafił sobie wyobrazić, że jej nie odnalazł.

Burza ucichła. Iris nadal spała smacznie. Kiedy ponownie włączono elektryczność, Sophie poszła do ogrodu, żeby się przekonać, jakie szkody poczyniła ulewa. Wróciła ubłocona i zgnębiona, z podrapanymi ramionami. Przyniosła pęczek warzyw i garść jagód. Umyła się, a potem obudziła Iris tylko po to, żeby pobujać ją na fotelu. Powiedziała Joemu, że kołysanie dziecka dobrze działa na jej własne samopoczucie. Podnosi na duchu.

Joe nagle zapragnął, aby go pokołysała. Przydałoby mu się trochę ukojenia.

Sophie dała ogłoszenie do antykwarycznej prasy dlatego, że potrzebowała pieniędzy na życie. To już wiedział. Do rozmowy na te tematy dała się łatwo wciągnąć. Chyba brakowało jej pracy w otoczeniu innych ludzi i miejskiego gwaru. Kiedy jednak nawiązywał do sprawy kolekcji, natychmiast zamykała buzię na kłódkę.

Joe potrafił nawet zrozumieć, dlaczego za żadne skarby nie chciała powiedzieć mu prawdy. Gdyby się przyznała, utraciłaby wszystko, ponieważ dochód z pracy chałupniczej, jaką sobie załatwiła, nie starczyłby na zapłacenie bieżących rachunków. A co dopiero pierwszej raty podatku od nieruchomości.

Nie mówiąc o wykupieniu z warsztatu samochodu po remoncie. A także wstępnym szacunku kosztów naprawy zniszczonego dachu.

Było ponadto mnóstwo rzeczy, które mogły przysporzyć jej kłopotów. Zbierając talerze po kolacji i wkładając je do zmywarki, Joe pomyślał o paru takich rzeczach. Nie widział jednak wyjścia z powstałej sytuacji. To, co powinien zrobić, pograżyłoby do końca tę nieszczęsną kobietę. A do tego nie mógł dopuścić.

Z jednej strony nie wolno mu było wrócić z pustymi rękoma do babki i jej okłamać. Ani oznajmić, że odnalazł kolekcję, ale nie odebrał jej pani Bayard tylko dlatego, iż nie miała innych środków do życia. A jedyne, co zamierzała działać rodzina Danych, to wystawić chińskie nefrytowe przedmioty w małym muzeum, otwartym tylko przez trzy dni w tygodniu i mającym rocznie zaledwie parę tysięcy zwiedzających.

Joe głowił się nad tym, jak rozwiązać ten trudny problem. Uznał, że dziś niczego nie wymyśli. Dał sobie spokój. Sprawę odłożył do następnego dnia, licząc na to, że wpadnie mu do głowy jakiś genialny pomysł.

Nie mógł zrozumieć jednego. Dlaczego Davis zostawił Sophie tak cenną kolekcję.

Kończył się długi, męczący dzień. Wieczorem Iris płakała częściej niż zwykle. Bez względu na wyjaśnienia Sophie, Joe uznał, że wszystkie nowo narodzone istoty zostały tak zaprogramowane, aby bały się kilku podstawowych rzeczy. Gdyby było inaczej, jak do naszych czasów przetrwałyby niektóre gatunki?

Wytrzeł ręce i poszedł sprawdzić, co robi Sophie. Zastał ją w dzieciennym pokoju. Z zamkniętymi oczyma siedziała nieruchomo na fotelu na biegunach, przytulając do siebie maleństwo.

Joe stanął w drzwiach i obserwował ją przez chwilę. Spała. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Czyżby była to opóźniona reakcja po porodzie? Sophie utraciła większość pięknej, złotej opalenizny, która tak zachwyciła go pierwszego dnia. Miała teraz sińce pod oczyma. Mimo to jednak było w niej coś...

Stop. Koniec rozważań. Joe uznał je za niebezpieczne.

– Sophie? – odezwał się, stojąc nadal na progu.

Iris kwiliła cicho. Musiała być głodna. Dziś długo wytrzymała bez jedzenia. Zwykle jej mama była wyczulona na pierwszą reakcję niemowlaka.

Sophie poruszyła się lekko, lecz nie otworzyła oczu.

Joe podszedł do fotela.

– Obudź się, złotko. Nakarm małą i idź do łóżka.

Od razu sobie uprzytomnił, że jak na mężczyznę, który nie zamierza nigdy zrezygnować z kawalerskiego stanu, zachowuje się idiotycznie. Niczym ojciec i mąż.

Sophie poruszyła się przez sen. Joe dotknął jej ramienia. Otworzyła oczy. Wyglądała na całkowicie bezbroną.

Na ten widok Joe poczuł ucisk w sercu. I nagle uzmysłowił sobie coś, co niemal ścięło go z nóg.

Wiedział, że nie potrafi opuścić Sophie Bayard. Ani jej, ani niemowlęcia. Z chińską kolekcją lub bez niej. Co gorsza, musiał przed sobą przyznać, że pożąda kobiety, która dopiero co urodziła dziecko spłodzone przez innego mężczyznę.

Był więc człowiekiem całkowicie zdeprawowanym albo jego instynkt przetrwania i wydania na świat potomka był znacznie silniejszy, niż kiedykolwiek sądził.

W nocy, leżąc bezsennie pod przeciekającym dachem, w łóżku wilgotnym i rozpadającym się ze starości, Joe nadal nie przestawał myśleć o Sophie.

Jeśli kobieta potrafi z opóźnieniem reagować na poród, to mężczyzna może mieć opóźnioną reakcję na rezygnację z zawodowej kariery. Kariery, która niepodzielnie rządziła jego egzystencją od dwudziestego drugiego roku życia, to znaczy od chwili ukończenia studiów. Oba te przypadki łączyła jedna wspólna okoliczność. Drastyczna zmiana trybu życia i hierarchii wartości.

Do pracy w policji przystąpił pełen entuzjazmu, determinacji i z głową nabitą ideałami. Mniej więcej szesnaście lat później, po nieudanym małżeństwie, cudem przeżytej eksplozji, która uszkodziła mu słuch, po dwóch wypadkach samochodowych i paru postrzałach, musiał zrezygnować ze służby czynnej, bo stan zdrowia mu na nią nie pozwalał. W obawie przed pracą przy biurku przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

Opuszczając policję nie był ani rozgoryczony, ani załamany. Pozostał jednak tym, kim był. W każdym calu realistą.

A więc dlaczego ten realista spędza teraz czas na rozważaniach, w jaki sposób zwiększyć środki finansowe kobiety, którą poznał przed zaledwie paroma dniami? zastanawiał się, spoglądając na sufit. Co go obchodził fakt, że miała nad głową wałący się dach? Dlaczego tak bardzo zależało mu na tym, aby zamki w drzwiach wymieniła na solidniejsze, zainstalowała w sypialni drugi aparat telefoniczny, a może nawet sprawiła sobie psa? Najlepiej takiego, który groźnie wygląda, lecz w gruncie rzeczy jest łagodny. Zresztą każdy pies będzie lepszą ochroną niż złota rybka z wyłupiastymi oczyma i przydługim ogonem.

Zanim zasnął, długo myślał o tych wszystkich sprawach i o innych, związanych z Sophie Bayard. Tuż przed zapadnięciem w sen jego umysł

podsunął mu obraz tej kobiety. Z obnażonymi piersiami, karmiącej dziecko. Uśmiechającej się do niego. Dzielącej tę radosną, jakże intymną chwilę z twardym facetem. Byłem gliniarzem z Dallas.

Z człowiekiem, który wysledził ją z zamiarem oskarżenia o popełnienie przestępstwa.

Następnego ranka tuż po wpół do siódmej zadzwonił telefon. Joe otworzył zaspane oczy i spojrzał odruchowo na przegub ręki. Był pusty. Zaklął szpetnie, uprzytomniwszy sobie, że wieczorem zdjął z ręki zegarek i zostawił go na szafce po drugiej stronie pokoju. Zły na siebie, poleżał jeszcze parę chwil, a potem zwał się z łóżka. Uważając na zeszywniałe kolano, wciągnął dżinsy i ruszył w stronę telefonu.

Gdy znalazł się w połowie schodów, aparat zamilkł.

Sophie wysunęła głowę z sypialni.

– Czy dzwonił telefon? – spytała.

– Tak. Pewnie pomyłka – odparł Joe, ale ani przez chwilę w to nie wierzył.

– Miał dzwonić człowiek, z którym wczoraj rozmawiałam.

– Raczej ktoś wybrał zły numer. Wracaj do łóżka. Jeśli telefon odezwie się jeszcze raz, sam podniosę słuchawkę.

Była ubrana w nocną koszulę. Luźną i grubą. Zupełnie bezkształtną. Mimo to jednak wyglądała w niej wspaniale. Joe czekał, co ma mu do powiedzenia. Wyczuwał, że nadal żywi urazę o to, że wczoraj spławił potencjalnego kupca chińskiej wazy.

Miała zafrasowaną minę.

– Joe... – odezwała się po chwili – czy możesz tu przyjść i dotknąć Iris?

– O co chodzi?

– Wydaje mi się rozpalona.

– Dzieci mają szybszy metabolizm. Jestem pewny, że gdzieś o tym czytałem.

– I więcej płakała niż zwykle. W nocy budziła się co chwila. Dotknij jej, proszę. Powiedz, co o tym sądzisz. Może mi się tylko wydaje.

Joe miał za sobą zwykle policyjne szkolenie oraz lata praktycznego doświadczenia. Własnoręcznie odebrał kilka porodów. Woził też na pogotowie ciężarne kobiety, ale o stawianiu diagnozy niemowlakom nie miał zielonego pojęcia. Zamierzał powiedzieć to Sophie, lecz zobaczył jej oczy pełne niepokoju i drżące wargi.

Z dwojga złego wolałby teraz rekinowi obejrzeć migdałki niż sprawić, by Sophie się rozplakała.

– Chętnie to zrobię – odpowiedział i wszedł za nią do dzieciennego pokoju.

Wziął dziecko na ręce. Mała Iris wyglądała na rozpaloną, ale od urodzenia miała czerwoną buźkę. Joe najpierw położył dłoń na jej udku, a potem dwa palce w zagłębieniu szyjki.

– Jest ciepła.

– Rozpalona. Ma gorączkę. Od razu wiedziałam, że jest źle – wyszeptała przerażona Sophie.

Ze zdenerwowania zaczęła wyłamywać sobie palce.

Joe rozważał szybko różne możliwości. Dziecko nie mogło złapać żadnej infekcji od innych ludzi, gdyż z nikim się nie stykali. Chyba że stało się to jeszcze w szpitalu. Pokarm Iris był w porządku. Wprost z piersi matki.

– Skontaktuję się z lekarzem. Iris płakała coraz głośniej.

– Zawiozę was do szpitala. To lepsze niż diagnoza przez telefon.

Twarz Sophie nagle się rozpromieniła.

– Zawieziesz nas? A może powinnam wezwać karetkę?

– Jazda w obie strony potrwa zbyt długo. Znam drogę do miasta. O tej porze nie powinno być dużego ruchu. Z samochodu skontaktuję się telefonicznie ze szpitalem, żeby byli przygotowani.

Joe włożył Iris do łóżeczka. Rzeczywiście była rozpalona i nieszczęśliwa. Pobiegnął na piętro, włożył koszulę i buty, zapominając o skarpetkach.

Poleciał Sophie, żeby szybko się ubrała. Bez żenady ściągnęła przy nim nocną koszulę.

Po chwili byli już w drodze. Na szosie panował mały ruch. Na szczęście, gdyż zanim dojechali do miasta, stan dziecka pogorszył się znacznie. Było rozpalone jak piec. Musiało mieć bardzo wysoką temperaturę.

Joe rozmawiał przez telefon z lekarzem dyżurnym w szpitalu.

– Niemowlę ma cztery, nie, pięć dni. Waży około pięciu kilogramów. Dotychczas nie było z nim problemów. Nie stykało się z nikim. Jest karmione piersią. – Joe zamilkł na chwilę i pytającym wzrokiem spojrzał na Sophie. – Ma biegunkę? Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie – mówił dalej do słuchawki. – Do tej pory wszystko było w najlepszym porządku. Teraz mała jest okropnie rozpalona i bardzo niespokojna. Będziemy na miejscu za trzy, najwyżej cztery minuty.

Gdy dotarli pod szpital, już tam na nich czekano. Sophie podała dziecko pielęgniarzowi. Była blada, lecz opanowana. Zsunęła się szybko z wysokiego siedzenia furgonetki i wbiegła do szpitala. Joe odjechał sprzed wejścia do budynku, żeby zaparkować samochód.

W szpitalu natrafił na mur obojętności. Był przyzwyczajony do tego, że policyjna odznaka otwiera mu wszystkie drzwi. Teraz potraktowano go jak zwykłego człowieka.

– Proszę przejść do poczekalni, panie...

– Dana – podpowiedział pielęgniарce w izbie przyjęć. – Zaraz to zrobię, ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, gdzie...

– Czy jest pan członkiem rodziny dziecka?

Joe miał ochotę skłamać, ale szybko uznał, że stworzyłoby to niepotrzebne komplikacje.

– Jestem przyjacielem jego matki. Bardzo bliskim. To ja pięć dni temu przywiozłem tutaj panią Bayard. Do jasnej cholery, przecież prawie asystowałem przy porodzie...

– Przeklinanie nic panu nie da, panie Donner – oświadczyła pielęgniarka.

– Dana. Nazywam się Dana – poprawił. – Proszę się upewnić, że pani Bayard wie, iż tu jestem.

– Czy ma ubezpieczenie?

Na to pytanie był przygotowany. Już go o to indagowano, kiedy znalazł się tu pierwszy raz.

– Parę dni temu pani Bayard rodziła w tym szpitalu. Numer jej karty ubezpieczeniowej znajdzie pani w waszym komputerze.

Zdenerwowany, poszedł do poczekalni. Nie był ogolony ani nawet umyty. Znalazł męską toaletę i doprowadził się trochę do porządku. Bez przerwy spoglądał na zegarek.

Już powinni wiedzieć, co jest dziecku! Denerwował się coraz bardziej. Jeszcze tego było trzeba Sophie! Dałby teraz wiele, gdyby mógł odwieźć ją do domu i przygotować śniadanie. A ona w tym czasie kołysałaby się z Iris w fotelu na biegunach, śpiewając jej głupiutkie, zwariowane piosenki, które sama wymyślała.

O rybce o imieniu Darryl. O króliczkach zjadających wiśnie w czekoladzie, a potem wypluwających pestki, z których wyrastały później całe wiśniowe drzewa z owocami pokrytymi czekoladą.

Długimi krokami przemierzał Joe poczekalnię, nasłuchując odgłosów dobiegających od strony korytarza. Oddział pierwszej pomocy był z reguły zatłoczonym miejscem, nawet w małym szpitalu w spokojny, niedzielny ranek.

Joe zaczął obmyślać plan, który powstał mu w głowie ostatniej nocy. Jeszcze nie było stosownej chwili, aby wspomnieć o nim Sophie. W każdym razie istniała spora szansa, że w połowie tygodnia on sam znajdzie się już w Dallas, po pomyślnym wykonaniu zleconego mu zadania.

– Joe? Powiedziano mi, że tutaj jesteś.

Odwrócił się błyskawicznie i o mało nie upadł, gdyż ugięło się pod nim chore kolano. Sophie wyciągnęła rękę. Oparli się o siebie i przez chwilę stali nieruchomo. Joe nie wiedział, kto kogo podpira, ale było mu bardzo dobrze.

– Co z... – Głos uwiązł mu w gardle. Bał się zapytać o dziecko. O to, co się z nim dzieje.

Sophie zadrżały ramiona, ale się nie rozpląkała.

– Chłódzą ją.

– Żeby obniżyć gorączkę?

– Tak...

– Wiedzą już, co to było? U dzieci gorączka nie jest na ogół groźna. Z byle powodu jednego dnia mają wysoką temperaturę, a następnego już w najlepsze grają w piłkę. Wiem, bo tak było z dziećmi mojego współnika.

Joemu przyszły na myśl bakterie, których jest pełno w szpitalach. I problemy genetyczne, z którymi mogło urodzić się dziecko.

– To był kleszcz.

– Co takiego?!

– Wpił się w nią kleszcz. I to z mojej winy. – Sophie zaczęła łkać. Joe trzymał ją w ramionach. Uspokajającym gestem głaskał po plecach.

– Złotko, to niemożliwe. Nigdy nie widziałem bardziej przezornej matki od ciebie.

– Przypominasz sobie, jak wczoraj wybiegłam po deszczu przed dom? Po powrocie nie zmieniłam od razu ubrania i wzięłam Iris na ręce. Wtedy musiałam przenieść na nią kleszcza.

Oddychała ciężko i nierówno. Joe nie przestawał głaskać jej po plecach. Miał nadzieję, że Sophie nie zdaje sobie sprawy z jego reakcji na takie zbliżenie.

– Proszę, uspokój się. Oboje nie jedliśmy śniadania. Sprawdźmy, co można tu dostać z automatów. Z pełnym brzuchem natychmiast poczujesz się lepiej.

A on sam będzie od razu w stanie sensowniej myśleć, gdy się od niej jak najszybciej odsunie.

Sophie oświadczyła, że nie jest w stanie niczego przełknąć. Mimo to Joe wyruszył na poszukiwanie jakiegoś jedzenia. A także po to, aby się opanować i odzyskać kontrolę nad odruchami swojego ciała. Ogromnie krępujący był fakt, że w powstałych okolicznościach bliska obecność Sophie tak bardzo go podnieciła. Wstydził się za siebie.

Zjedli serowe krakersy, orzeszki, owsiane herbatniki i popili to wszystko wodnistą kawą z jakimś białym proszkiem o zapachu talku. Sophie zjadła sporo, więcej niż na nią przypadowało. Co kilka minut zrywała się z krzesła i wybiegała z poczekalni, żeby dowiedzieć się, co dzieje się z dzieckiem.

– Wypędzili mnie – poskarżyła się Joemu, po raz trzeci wróciwszy z izby przyjęć. – Byli mili, ale...

– Czy mała nadal jest na oddziale pierwszej pomocy?

– Przenieśli ją na pediatrię. Jest z nią teraz lekarz. Wyjęli kleszcza, ale chcą zatrzymać Iris przez noc na obserwację. Miałam ci to powiedzieć, kiedy tu przyszedłam.

– A więc jest w dobrych rękach. Lekarze wiedzą, co robić – uspokajającym tonem skomentował jej słowa Joe. Chodziły mu wprawdzie po głowie niewesołe myśli. Skutki ugryzienia przez kleszcza mogły okazać się groźne, ale nie zamierzał jeszcze bardziej martwić Sophie.

– Tak – odparła. – Możesz wracać do domu. Ja, oczywiście, zostaję.

– Złotko, wszystkie matki chcą tego samego, ale gdyby to robiły, wchodziłyby lekarzom w drogę.

– Nikomu nie będę zawadzała. Zostanę w poczekalni. I tak przecież nie zasnę.

– Pozwól odwieźć się do domu. A kiedy tylko zechcesz wrócić, po dwudziestu pięciu minutach znajdziesz się znów w szpitalu.

– Zostaję.

Joe uznał, że nie ma sensu dłużej przekonywać upartej matki. Gdyby jego dziecko tutaj się znajdowało, też nie ruszyłby się z miejsca.

– Czy nakarmiłaś Darryla? – zapytał.

– Dzisiaj nie.

– A więc może ja pojedę do domu, dam mu jeść, zabiorę to, co będzie ci potrzebne, i wrócę?

Sophie oparła czoło na jego ramieniu. Objął ją mocno naturalnym gestem. Tak jakby miał do tego pełne prawo. Kilka minut później opuścił szpital, obiecując Sophie, że wróci w ciągu godziny. I zdając sobie sprawę z tego, że nie wykorzysta nadarzającej się sposobności i nie przeszuka jej domu w celu znalezienia tego, co jeszcze pozostało z chińskiej kolekcji.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zjechał z szosy numer 158. Przez całą drogę zastanawiał się, co powinien zrobić przed powrotem do szpitala. Miał z sobą kartkę z wykazem, który sporządziła Sophie. Nerwowo złożyła ją kilkakrotnie i wetknęła Joemu do kieszeni.

Miał nakarmić Darryla, upewnić się, czy jest zamknięte okno w spiżarni i czy zostało założone druciane ogrodzenie, mające chronić ogród przed gryzoniami.

Joe postanowił jeszcze zadzwonić do babki Emmy i Donny. Zajmie mu to zaledwie parę minut, a babkę, gdy ostatni raz z nią rozmawiał, bardziej interesowała Iris niż nefrytowa chińska kolekcja.

Ponadto zamierzał skorzystać z okazji i ogolić się, wziąć prysznic, a potem przebrać w czystą koszulę i ostatnią parę czystych dżinsów, jaką miał z sobą. Później może rozejrzy się po domu.

Nie. Tego nie robi. Zamierzał oświadczyć Sophie, że za zwrot chińskiej kolekcji wyznaczono nagrodę. I kiedy odda mu skradzione nefrytowe skarby, wręczy jej pięć tysięcy dolarów.

Własnych. Pochodzących z jego powierniczego funduszu. Do tej pory jeszcze go nie naruszył. Przedtem wystarczało mu to, co zarabiał w policji, lecz z emerytury, którą obecnie dostawał, nie byłby w stanie zapłacić tak wysokiej nagrody. Szkoda tylko, że zdążył już zamienić swój fundusz na kapitał niezbędny do założenia firmy. Wszystko wskazywało na to, że uruchomienie agencji ochrony mienia będzie przedsięwzięciem bardzo kosztownym.

W taki oto sposób pomoże Sophie i z czystym sumieniem spokojnie wróci do domu. Chińska kolekcja znajdzie się w muzeum, z nazwiskiem

dziadka umieszczonym na tabliczce obok eksponatu. Babka Emma oznajmi: „A więc to wszystko” i cała sprawa będzie miała szczęśliwe zakończenie.

Dojechał na miejsce. Dopiero gdy stanął przed frontowymi drzwiami, wyostrzone zmysły policjanta sprawiły, że wyczuł, iż coś jest nie w porządku.

Przyłożył ucho do drzwi. Nasłuchiwał przez chwilę. W domu panował spokój. Joe podszedł na palcach do frontowego okna i ostrożnie zajrzał przez nie do środka.

Głośno zaklął. Podbiegł do drzwi. Były zamknięte. Otworzył zamek i włożył klucz do kieszeni. Ogarnął wzrokiem cały salonik. Widok był przerażający. Całe wnętrze zostało splądrowane i zdewastowane przez wandala. Na podłodze walały się poduszki z kanapy z powypruwany pierzem. Ktoś poprzewracał meble, niektóre nawet połamał.

Ten, kto to uczynił, wykonał swoją robotę nie ze spokojem profesjonalisty, lecz z wściekłością, która przeraziła Joego. Musiało nastąpić to niedawno, gdyż złota rybka, leżąca na podłodze obok przewróconego akwarium, wykazywała jeszcze oznaki życia.

Z ponurą miną Joe przestąpił stertę książek zrzucanych z półek i zniszczony kosz na śmieci. Złapał rybkę i zaniósł ją do kuchni.

– Przykro mi, stary – powiedział do Darryla – na razie musi ci to wystarczyć. – Wpuścił go do wazy na zupe, napełnionej wodą z kranu.

Wiedział, że nie jest to najlepsze dla rybki, ale w tej chwili niczego innego nie potrafił wymyślić.

Dzięki Bogu, że kiedy to się stało, nie było ich w domu! pomyślał z ulgą. Jak to dobrze, że Sophie i Iris znajdowały się daleko stąd!

Teraz żałował, że nie zapamiętał głosu mężczyzny, który telefonował poprzedniego dnia. Joe usłyszał zaledwie parę słów. Był to głos nosowy, o nieprzyjemnym brzmieniu.

Złoczyńca bez trudu dostał się do domu. Przez otwarte okno w spiżarni. Na podłodze Joe dostrzegł grudki błota. Przyjrzał się odciskom butów pod oknem. Było ich kilka. Wszystkie należały do jednego człowieka. Włamywacz nosił buty o rozmiarze 10. Joe zauważył charakterystyczne cechy sportowego, popularnego obuwia znanej firmy, co nie ułatwi rozpoznania ich właściciela. Prawdopodobnie jedna trzecia mężczyzn mieszkających w okręgu Davie nosiła identyczne buty, a w tej liczbie około trzydziestu procent miało rozmiar 10.

W pierwszym odruchu Joe chciał rzucić się w pogoń za złoczyńcą. Zaraz potem jednak uprzytomnił sobie, że nie może przywieźć Sophie do tak zdewastowanego domu. Nie powinna tego oglądać. Byłoby najlepiej, gdyby ze szpitala pojechała wprost do jakiegoś hotelu, ale nie był pewny, czy uda mu się na to ją namówić. W jaki sposób wytłumaczyłby taką propozycję? A ponadto jeśli nie dziś czy jutro, to i tak będzie musiała wrócić do domu. I co wtedy?

Był jeszcze problem Iris. Joe nigdy nie słyszał, żeby jakieś niemowlę zachorowało na zapalenie opon mózgowych czy inną groźną chorobę przenoszoną przez kleszcze, ale wszystko było możliwe. Gdyby tak się stało, pięciodniowe maleństwo nie miałoby żadnych szans przeżycia.

Joego ogarnęło przygnębienie. Poczul się całkowicie bezradny. Było to uczucie, do którego niewielu gliniarzy jest w stanie się przyzwyczaić. On sam doświadczył go jednak parę razy.

Stał teraz pośrodku kuchni, wśród kupy mąki, ryżu i płatków owsianych oraz stosu potłuczonych talerzy. Wyglądało to tak, jakby złoczyńca specjalnie powyciągał je z szafek, żeby mieć frajdę z ich rozbijania. Na podłodze leżało rozdarte opakowanie po grochu, który walał się wszędzie pod nogami.

Joe stał przez chwilę nieruchomo, ogarniając wzrokiem pobojuwisko. Zaklął szpetnie, a potem zacisnął zęby, wyjął z kieszeni kartkę ze

sporządzonym przez Sophie wykazem rzeczy, które miał zabrać z domu, i zaczął czytać.

„Z sypialni: Biustonosz do karmienia i parę majtek. Górna szuflada, lewa strona. Szlafrok wiszący na wewnętrznej stronie drzwi szafy. Ranne pantofle zostawione obok łóżka. Szczotka do włosów.

Z kuchni: Tabletki z półki obok zegara. Słoiczek z cukierkami stojący obok lodówki.

Z łazienki: Szczotka do zębów. Pasta. Płyn nawilżający w różowej butelce z dolnej półki. Niebieskie pudełko spod umywalki”.

Joe znalazł plastikową torbę na zakupy. Wrzucił do niej buteleczki z tabletkami. Cukierków nie mógł zabrać, bo, rozrzucone, wały się po podłodze. Postanowił, że kupi je, przejeżdżając przez miasto.

Poszedł do sypialni. Górna szuflada była pusta, podobnie jak wszystkie pozostałe. Obok pociętego materaca zrzuconego z łóżka na podłogę leżała zawartość komody. Joego ogarnęła wściekłość.

Łatwo odszukał majtki. Ze stanikiem szło mu gorzej, gdyż nie miał pojęcia, jak wygląda biustonosz do karmienia. Wyobraził sobie z przodu jakieś klapki. Znalazł dwa takie dziwne staniki. Wepchnął je do kieszeni.

Czuł się okropnie, grzebiąc w najbardziej osobistych rzeczach Sophie. Wmawiał w siebie, że zachowuje się jak mąż, który znalazł się w identycznych okolicznościach. Istniała jednak pewna różnica. Sophie nie była jego żoną.

Z drugiej jednak strony, mimo że znali się zaledwie parę dni, robił dla niej takie rzeczy, jakich większość mężów nie uczyniłaby nigdy. Nie miałyby okazji. Dawało mu to jakieś prawa, czyż nie? Przywileje? Co najmniej życzliwość i zainteresowanie?

Potem poszedł do łazienki. Przynajmniej szczotka do zębów pozostała na swoim miejscu. Wziął też nową tubkę pasty. Z apteczki wyjął różową butelkę.

Pod umywalką, obok rur, znalazł tylko pojemnik ze środkiem do mycia wanny, szczotkę i parę gumowych rękawic. W pobliżu na podłodze leżały dwa niebieskie pudełka. Oba zniszczone i puste. W jednym dostrzegł reszkę niebieskiego, perfumowanego proszku. Czegoś takiego używała do kąpieli jego żona, tyle że miało ono zielony kolor.

Obok drugiego niebieskiego pudełka były porzrzucone inne znane mu kobiece utensylia. Każde w osobnym opakowaniu. Joe zaczął zbierać je z podłogi, ale po chwili się rozmyślił. Sophie pewnie będzie chciała się dowiedzieć, co stało się z pudełkiem, a on na razie nie zamierzał odpowiadać na jej pytania.

Zaklął pod nosem. W drodze do szpitala będzie musiał kupić identyczne pudełko. Przypomniawszy sobie, z jak bardzo zmieszaną miną Sophie kilkakrotnie składała kartkę ze spisem rzeczy. To miłe, że peszą ją takie sytuacje, pomyślał. Miała poczucie przyzwoitości. Gdyby powiedziała, o co chodzi, poradziłby zwrócić się do pielęgniarki, która z pewnością dostarczyłaby jej te środki osobistej higieny.

– Oj, Sophie, Sophie, co ja mam z tobą zrobić! – jęknął półgłosem.

Jeszcze raz ogarnął wzrokiem zastane pobojuwisko, opuścił dom i z telefonu w furgonetce zadzwonił na policję, zgłaszając włamanie. Upewniwszy się, że wkrótce kogoś przyślą, usiadł i czekał.

Usiłował sobie przypomnieć, jakie cukierki lubi Sophie, ale bezskutecznie. Postanowił więc, że, jadąc do szpitala, kupi jej pudełko dobrych czekoladek. Może dzięki temu uniknie kłopotliwych pytań.

Czas płynął. Upał stawał się coraz większy. Przy bezchmurnym niebie niemiłosiernie paliło słońce.

Joe rozsiadł się w furgonetce. Skrzyżował ręce na piersiach. Nie mógł dojść do siebie. Nadal był wstrząśnięty. Oglądał wielokrotnie podobne widoki

splądrowanych domów. Można powiedzieć, że był do nich przyzwyczajony. Tym razem jednak sprawa miała charakter zupełnie inny. Bardzo osobisty. Dotyczyła Sophie. I z przyczyn, w które nie chciał wnikać, Joe czuł się tak, jakby zdewastowano jego własny dom.

Sophie siedziała przy łóżeczku Iris. Obejmowała ręką drobną nóżkę i przyglądała się maleńkiej buźce. Panna Tłuścioszka. Tak nazwał małą Joe. Sophie nie podobało się to określenie, gdy usłyszała je po raz pierwszy, ale było zasadne. Iris miała puciołowate policzki. I nosek jak guziczek. A także maleńką spiczastą bródkę i różowe usteczka nie większe niż u lalki. Teraz jej skóra zamiast czerwonej stała się różowobiała. Iris wyglądała uroczo. Na czubku jej główki można było dostrzec drobne włoski. Jasny, przezroczysty puszek.

Przyszła pielęgniarka. Zmierzyła dziecku temperaturę, uśmiechnęła się i wyszła. Sophie odetchnęła z ulgą. Kryzys minął. Iris była już w dobrej formie, ale lekarz orzekł, że wymaga dalszej obserwacji.

Nadal była niespokojna i płakała. Pielęgniarka uważała to za normalne, ale Sophie wiedziała swoje. Dziecko było głodne, ale na razie dawano mu tylko przegotowaną wodę. Lekarz powiedział, że jeśli temperatura Iris będzie normalna, a mała obudzi się w nocy, to Sophie może ją nakarmić piersią. Na razie jednak otrzymała od pielęgniarki odciągacz pokarmu i uczyła się go stosować. Było to krępujące, ale lepsze niż bolesny ucisk obrzmiałych piersi.

Siedząc przy łóżku dziecka, Sophie na zmianę modliła się o jego zdrowie i myślała o Joem. Wstydziała się tego, gdyż w istniejących okolicznościach zaprzątanie sobie głowy mężczyzną było naganne. I to mężczyzną, który uważał ją za oszustkę. Który nagle wkroczył w jej życie i wziął sprawy w swoje ręce, gdy nie była w stanie temu się przeciwstawić.

A teraz nawet nie chciała się mu przeciwstawić, co pogarszało całą sprawę.

– Przyszedł ktoś do pani – poinformowała ją pielęgniarka. – Jest w poczekalni. Przywiózł z domu jakieś rzeczy.

Sophie podniosła się z miejsca, ucałowała główkę Iris i obciągnęła workowatą sukienkę. Nic na nią teraz nie pasowało. Ubiory ciążowe były za obszerne, a te, w których chodziła wcześniej – zbyt ciasne. Sophie wyobrażała sobie, że od razu po porodzie odzyska dawną, jej zdaniem zupełnie niezłą figurę. Zawsze była postawna i dobrze zbudowana. Grubokoścista. Wiedziała, że żadne odchudzanie się tego nie zmieni.

Teraz czuła się okropnie. Zmęczona i zgnębiona, także swym nieatrakcyjnym wyglądem, poszła do poczekalni.

– Dziękuję, Joe. Czy wszystko znalazłeś? Pamiętałeś, żeby nakarmić Darryla? Och, chyba zapomniałam powiedzieć, gdzie trzymam jego jedzenie!

– Na półce obok kaset i płyt. Przepraszam, że trwało to tak długo, ale musiałem jeszcze załatwić parę spraw. Jak czuje się Iris?

Sophie wyjęła z rąk Joego dwie torby, jedną ze szlafrokiem i drugą z osobistymi drobiazgami, a także pudełko czekoladek.

– Och, nie powinieneś ich kupować – powiedziała, rozrywając celofanowe opakowanie. – Temperatura Iris spadła prawie do normalnej. Nigdy nie sądziłam, że dziecko tak szybko może zachorować. Po raz pierwszy w życiu byłam aż tak przerażona. – Sophie otworzyła pudełko, wybrała dużą wiśnię w czekoladzie, ugryzła kawałek i zamknęła oczy. – Och, to mi było właśnie potrzebne! – jęknęła z zachwytem. – Naprawdę.

Stali blisko siebie. Sophie wyciągnęła rękę z pudełkiem czekoladek w stronę Joego.

– Poczęstuj się.

– Nie, dziękuję. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

Najbardziej potrzebowała bliskości tego mężczyzny. Pragnęła teraz podejść, złożyć głowę na jego ramieniu, poczuć, jak Joe ją obejmuje, i usłyszeć głęboki, szorstki głos zapewniający, że wszystko dobrze się ułoży. To pragnienie jeszcze bardziej przeraziło Sophie.

– Zostało mi parę spraw do załatwienia. Muszę wykonać kilka telefonów – oznajmił. – Poradzisz tu sobie beze mnie przez jakiś czas? Wrócę wieczorem, żeby sprawdzić, czy czegoś ci nie brakuje.

– Jasne, że sobie poradzę. Jestem pewna, że rano będziemy mogli wrócić do domu, zaraz po badaniu lekarskim. Aha, Joe, zgadnij, co się stało? Iris rozpoznaje mój głos! Wystarczy, że wymówię jej imię, a ona, jeśli nie śpi, od razu spogląda wprost na mnie. Nie sądzisz, że to zdumiewająca reakcja jak na tak małe dziecko?

– Zdumiewająca – potwierdził.

Ostre rysy jego twarzy nagle złagodniały. W tej chwili sprawiał wrażenie niemal młodego chłopaka. Stał na szeroko rozstawionych nogach. Sophie wyobraziła go sobie w kowbojskim kapeluszu. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek nosił takie teksańskie nakrycie głowy. Uznała, że świetnie wyglądałby w czarnym stetsonie z podwiniętym po bokach rondem. Zresztą miał tak dobrą figurę, że w każdym stroju prezentowałby się doskonale.

Także nago.

– Dobrze się czujesz? – spytał Joe z niepokojem. – Wyglądasz na rozgorączkowaną. A może i ty masz pod skórą jakiegoś kleszcza? Jeśli chcesz, zaraz to sprawdzę.

Sophie spodobał się żartobliwy ton głosu Joego. Wiedziała, że się z nią przekomarza. Chciał, aby się odprężyła. Śmiejąc się, potrząsnęła głową.

– Jestem tylko zmęczona. Czekaając, aż Iris spadnie gorączka, musiałam mieć bez przerwy naprężone wszystkie mięśnie. Teraz okropnie mnie bołą.

Nie tylko naprężała mięśnie. Jej myśli ciągle powracały do Joego. Pewnie dlatego, że w tej chwili był jedynym człowiekiem, na którym mogła się oprzeć. Jedynym bliskim człowiekiem. Kiedy opadną emocje, z pewnością nie będzie rozumiała, dlaczego wydawał się jej interesujący.

A może przemawiała do niej jego postawa niezłomnego stróża porządku publicznego?

– Wyglądasz na osłabioną – stwierdził. – Powinnaś coś zjeść. Niedaleko szpitala widziałem restaurację. Pojedźmy i...

Sophie potrząsnęła głową.

– Nie mogę. Powiedziano mi, że gdy tylko Iris będzie miała normalną temperaturę, mogę zacząć karmić ją piersią. Nie chcę zjeść niczego, co mogłoby jej zaszkodzić.

– Wobec tego coś ci przywiozę. Powinienem bez trudu dostać jakiś stek. Jaki lubisz? Wysmażony? Krwisty? Chcesz frytki czy wolisz pieczone ziemniaki?

– Wysmażony i frytki – odparła Sophie. Odczuła gwałtowny przypływ głodu, który męczył ją przez cały dzień. – Nie, zamiast frytek wolę sałatkę. Bez cebuli i rzodkiewek. Z chudym sosem.

Niemal odruchowo spojrzała na siebie. Joe zrobił to samo. Spotkały się ich oczy. Zaiskrzyło wzajemne pożądanie.

Zdumiało to Sophie. Słyszała wielokrotnie, że po porodzie kobiety całkowicie tracą zainteresowanie seksem. Co się z nią dzieje?

– Przepraszam, rozmyśliłam się – powiedziała po chwili. – Nie jestem głodna. – Czując na sobie wzrok Joego, miała świadomość własnego okropnego wyglądu. Workowatej, bawełnianej sukienki, którą nosiła przez

cały dzień. Westchnęła głęboko. – Joe, jedź do domu. Zajmij się swoimi sprawami. Nam tu jest dobrze. Mamy świetną opiekę.

Joe odwrócił się i ruszył ku wyjściu..

Sophie poczuła nagłą pustkę. Pomyślała, że wychodząc, Joe musiał odetchnąć z ulgą. Pozbył się kłopotu. Nic ich przecież nie łączyło. W stosunku do niej nie miał żadnych zobowiązań. To ona stała się jego dłużniczką.

Przyglądała mu się, gdy szedł do windy, dostrzegając szczegóły, na które nigdy przedtem nie zwracała uwagi u żadnego mężczyzny. Nawet u Rafe'a. Ani u chłopaka, z którym parę lat temu była krótko zaręczona i który zerwał ich związek z chwilą, gdy zarząd firmy przeniósł go na Zachodnie Wybrzeże. Obiecał, że gdy tylko tam się jakoś urządzi, natychmiast się do niej odezwie, ale nigdy tego nie zrobił.

Sophie znów zaczęła myśleć o zewnętrznych cechach Joego. Była zafascynowana jego wyglądem i budową ciała. Idąc, poruszał ramionami, lecz biodra pozostawały nieruchome. Trzymał dłonie w taki sposób, jakby w ułamku sekundy zamierzał zwinąć je w pięści.

Wspaniale kołysał niemowlę.

I zapewne wspaniale pieścił kobiece ciało...

Zamiast wracać do okręgu Davie, Joe zaparkował samochód obok baru szybkiej obsługi dla zmotoryzowanych i zadzwonił do biura szeryfa. Chciał się dowiedzieć, czy już posłali kogoś do domu Sophie. Okazało się, że jeszcze nie. Wydarzył się poważny wypadek drogowy i policjanci mieli pełne ręce roboty. Ale gdy tylko znajdzie się ktoś wolny...

– Rozumiem – powiedział Joe do słuchawki. – Zna pan moje kwalifikacje. Wie pan, kim jestem. Mogę obejrzeć miejsce włamania i poszukać jakichś dowodów. – Pobieźnie już je oglądał. – Jeśli coś znajdę, zabezpieczę i dla was zostawię. Wnętrze domu jest zdewastowane. Dziecko

pani Bayard znajduje się w szpitalu. Matka zabiera je stamtąd jutro z samego rana. Nie chcę, żeby zobaczyła dom znajdujący się w takim stanie.

Na szczęście, gdy tylko tu przyjechał, zresztą robił to zawsze, natychmiast złożył wizytę miejscowym przedstawicielom prawa. Z czysto zawodowej uprzejmości, a także trochę z wyrachowania. W razie gdyby potrzebował pomocy miejscowej policji.

Skończył rozmowę i nie odkładając słuchawki, wystukał dobrze znany numer telefonu.

– Cześć, babciu. To ja, Joe.

Czekał, aż usłyszy to, co zwykle: „Przestań wreszcie, pętku, nazywać mnie babcią. Mam na imię Emmaline!”

Niestety, przeliczył się. Zamiast utartego zwrotu usłyszał wypowiedziane obojętnym głosem:

– Jak rozumiem, nadal przebywasz w Północnej Karolinie.

Opowiedział o kleszczu, który ugryzł Iris. To wydawało się interesować babkę bardziej niż losy chińskiej kolekcji.

– Jest mi bardzo przykro, że wszystko tak długo trwa – tłumaczył się Joe, odczuwając wyrzuty sumienia – ale są nowe kłopoty. Będiesz się ze mnie śmiała, kiedy usłyszysz, że zamierzam robić domowe porządki.

Babka Emma nawet nie spytała, dlaczego. I wcale się nie śmiała.

– Czy dziecko będzie zdrowe? – upewniła się. – Twój ojciec miał kaszel kokluszowy, kiedy był bardzo mały. Ogromnie się tym zamartwiałam.

– Sophie trzyma się całkiem nieźle. Jest dobrą matką. Czy już ci mówiłem, że wychowywała się w sierocińcu? Opowiadała, że musiała wtedy zajmować się małymi dziećmi. Może dlatego teraz tak dobrze sobie radzi.

Joe starał się mówić jak najdłużej. Zależało mu na tym, żeby babka dała się wciągnąć do rozmowy i zaczęła żywiej reagować na jego słowa. A może

powinien powiedzieć, że myśli o małżeństwie z Sophie Bayard i zaadoptowaniu małej Iris, żeby przestała go wreszcie męczyć o wnuki? Musiałby potem wymyślić jakiś przekonujący powód, dla którego zrezygnował z ożenku i nadal zamierza trwać w kawalerskim stanie.

Jeszcze przez parę minut próbował rozruszać babkę, ale to mu się nie udało. Zachowywała się pasywnie. Na Joego działało to deprymująco. Skończył rozmowę, a potem zadzwonił do Donny. Zadał siostrze parę pytań i porozmawiał z nią przez chwilę. Potem rozsiadł się wygodniej w furgonetce. Patrząc na przejeżdżające obok samochody, myślał i myślał.

Szukał konstruktywnego rozwiązania.

Ale go nie znajdował.

Powziął nagłą decyzję. Wycofał furgonetkę z parkingu, ustawił ją w kolejce do samochodowego baru, zamówił cztery hot dogi, dwie porcje frytek i dwa wielkie czekoladowe napoje. Zawrócił i ruszył w stronę, z której przyjechał.

Uznał, że porządki w domu Sophie Bayard zrobi później.

Jedli w solarium. Oprócz nich nie było tu nikogo. Była to pora odwiedzin. Inni poszli do chorych.

– Nie dam rady zjeść tego wszystkiego – oznajmiła Sophie. – Napchałam się cukierkami.

– Nie wszystko jest dla ciebie – uprzedził ją Joe. – Połowa należy do mnie. Jeśli obawiasz się zjeść cebulę, zaraz przełożę ją na moje dwa hot dogi. Ale jestem gotów się założyć, że panna Tłuscioszka polubi cebulę tak jak jej mama.

Sophie wbiła zęby w hot doga.

– Skąd przyszło ci do głowy, że lubię cebulę?

– Oj, Sophie, Sophie. Znam cię lepiej, niż sądzisz. Pierwszego dnia, gdy tylko rzuciłem na ciebie okiem, od razu pomyślałem, że ta dama z apetytem zajada cebulę.

Nie roześmiała się, gdyż miała pełne usta, ale poweselały jej oczy. To już był postęp.

Szybko skończyli jedzenie. Joe uznał, że zrobił dziś dobry uczynek. Nakarmił Sophie. Rozbawił ją. Sprawił, że na chwilę przestała się martwić. Do zrobienia pozostało mu jeszcze jedno. Jechać do jej domu i zabrać się za porządki.

Wszystko to czynił tylko i wyłącznie z jednego powodu. Po to, by mógł z czystym sumieniem opuścić Sophie. Do załatwienia pozostało mu jeszcze parę rzeczy. Kupienie psa. Założenie w drzwiach nowych zamków. Zainstalowanie przyzwoitego systemu alarmowego. Mało skomplikowanego i odpornego na przypadkowe włączenia. W Dallas dziewięćdziesiąt osiem procent wszystkich alarmów stanowiły fałszywe. Tutaj było mniej tych urządzeń, ale także mniej gliniarzy.

– Słuchaj, Sophie... – zamierzał podjąć ten temat.

– Joe, muszę wracać na salę.

Może uda mi się potem spokojnie z nią porozmawiać, pomyślał, patrząc, jak Sophie podnosi się z miejsca i zbiera opakowania po przyniesionym przez niego jedzeniu. Obdarzyła go lekkim uśmiechem. Nawet w pogniecionej, bezkształtnej sukience, z potarganymi włosami i odrobiną musztardy na brodzie, dla Joego była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek oglądał. Znał się na kobietach. Swego czasu uchodził nawet za eksperta. Cieszył się u pań ogromnym powodzeniem.

– Czuję się zupełnie otepiała – dodała po chwili. – Nawet nie wiem, czy to pora śniadania, czy kolacji.

Mężczyzna, który przed chwilą stanął w drzwiach, odchrząknął głośno, żeby zwrócić na siebie uwagę. Spojrzał na Joego.

– Czy mam przyjemność rozmawiać z sierżantem Daną? – zapytał.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jego siostra Daisy miała zwyczaj powtarzać, że jest dla niej rzeczą niepojętą, w jaki sposób policjant w mundurze nawet podczas największych upałów potrafi wyglądać nienagannie i świeżo. Przedstawiciel prawa i publicznego porządku, który zjawił się w szpitalu, starał się dobrze prezentować, ale już na pierwszy rzut oka było widać, jak bardzo jest zmęczony.

Z kroplami potu na czole stał teraz w drzwiach solarium.

– Tak – odparł Joe. Żałował, że nie opuścił szpitala parę minut wcześniej. Spojrzał spod oka na Sophie. W pośpiechu zastanawiał się, co mówić policjantowi. Udzielanie jakichkolwiek odpowiedzi w jej obecności było mu zupełnie nie na rękę. Zdziwiło go, że na widok policjanta na twarzy Sophie odmalował się strach.

Bała się? Lękała się przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości?

– Och, do diabła – mruknął pod nosem Joe. – Wracaj do dziecka – zwrócił się do Sophie. Chciał jak najszybciej się jej pozbyć. – Chyba chodzi o moje tablice rejestracyjne.

W tak krótkim czasie tylko to potrafił wymyślić. Gestem poprosił policjanta, żeby wszedł do środka pokoju i z rozpoczęciem rozmowy czekał, aż Sophie wyjdzie. Obejrzała się przez ramię. Rzucił jej pokrzepiające spojrzenie.

Nie spełniło ono jednak swego zadania. Sophie nadal wyglądała na przestraszoną i zaniepokojoną.

– O jakie tablice? – zapytał młody policjant.

– Przepraszam. Nie chodzi o żadne tablice. Było to tylko taktyczne zagranie. Pani Bayard jeszcze nie wie, co stało się w jej domu. I chcę, żeby pozostawała w nieświadomości, dopóki nie znajdę czasu, żeby zrobić tam

porządek. Ta kobieta ma teraz na głowie inne zmartwienia. Ledwie urodziła dziecko, a już się znalazło na oddziale pediatrii. Czego się pan dowiedział?

– Ona jeszcze w ogóle nie wie o włamaniu?

– Dziś rano przywiozłem panią Bayard tutaj, do szpitala. Włamania dokonano jakiś czas później.

– Znaleźliśmy ślady opon nieznanego pojazdu. Czy pani Bayard nosi obuwie o rozmiarze siedem i pół?

Sophie, siorbiąc, wypłała przez słomkę resztkę czekoladowego napoju i nachyliła się nad łóżeczkiem. Chciała się przekonać, czy hałas, który spowodowała, nie obudził Iris. Dotknęła czółka, a potem przyłożyła dłoń do fałdki na szyjce Iris. Dziecko było ciepłe, ale nie gorące.

Tablice rejestracyjne Joego? O co chodziło temu policjantowi? Przecież najwyżej mogły być brudne i mało czytelne. To wszystko.

W pierwszej chwili pomyślała, że policjant przyszedł do niej w sprawie chińskiej wazy. Zaraz potem jej myśli wróciły do Joego. Zamiast oddać mu resztę kolekcji, a potem rozejrzeć się za jakąś pracą, aby móc związać koniec z końcem, ona martwiła się tylko jednym. Że Joe ją opuści.

To oczywiste, że odda mu te chińskie nefrytowe przedmioty i że on potem stąd wyjedzie. Nie będzie miał przecież żadnego powodu, aby pozostać, gdy tylko dostanie to, po co przyjechał.

Ze zmarszczonym czołem Sophie wróciła myślami do przeszłych zdarzeń. Pewnego dnia zupełnie przypadkiem weszła do pokoju i nakryła Rafe'a na tym, jak oglądał rozłożoną na stole kolekcję. A kiedy zapytała, co to jest, odpowiedział, że ma przed sobą zaręczynowy prezent. Wtedy nawet nie zdziwiło jej to, że zamiast pierścionka dostanie od Rafe'a te dziwaczne przedmioty. Wiedziała, że handluje on antykwarycznymi dziełami sztuki. Czowała się szczęśliwa. Był taki mądry... A kiedy obrabował ją i uciekł i gdy

potem dowiedziała się, jak niezwykle cenna jest chińska kolekcja, usiłowała przekonać samą siebie, że uczciwą drogą stała się jej właścicielką. W głębi serca wcale w to nie wierzyła.

A więc czy stała się współwinna przestępstwa po jego dokonaniu? A może jeszcze przed? Sophie nie znała terminologii prawniczej, ale w tej chwili nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Żałowała, że w ogóle poznała Rafe'a. Gdyby nie wkroczył w jej życie, nadal pracowałaby w banku, mieszkała w nowoczesnym, wygodnym apartamencie z klimatyzacją, chodziła na lunch z Terri i Jeanne, a także raz w tygodniu do kina z Edde'em Dinsmore'em z wydziału finansowego.

Gdyby tamtego pamiętnego dnia nie zaniosiła kolekcji do banku, Rafe zabrałby ją wraz z innymi cennymi przedmiotami, a ona już teraz nie miałaby za co żyć. Musiałaby nadal mieszkać w mieście, a nie na wsi. A w ogóle to wraz z dzieckiem znajdowałaby się pewnie w jakimś domu opieki społecznej...

Iris zakwiliła przez sen. Sophie dotknęła z czułością małego, tłustego kolanka. Zdeprymowana obecnością groźnie wyglądającej pielęgniarce o twarzy przypominającej buldoga nie śmiała wziąć córeczki na ręce.

Gdyby nie poznała Rafe'a, nie byłoby małej Iris, uprzytomniła sobie nie po raz pierwszy. A gdyby Rafe nie okradł tych wszystkich nieszczęsnych kobiet, nie poznałaby Joego.

Taki był ten świat.

Opadając ciężko na kanapę pozbawioną poduszek, Joe zaklął pod nosem. Nie odrywał wzroku od przedmiotu, który przed chwilę wydobył spod masy potłuczonego szkła i ociekających wodą gazet. A więc przez cały czas znajdowała się w tym piekielnym akwarium rzecz warta trzydzieści sześć tysięcy dolarów! Leżała w wodzie obok wraku statku i kuferka, typowych

rekwizytów tanich szklanych skrzynek, pokryta wodorostami. Gdyby ktoś zaczął się jej przyglądać, a nie Darrylowi, zauważyłby coś w rodzaju groty.

Brudną i moką wazę położył na stoliku od kawy. Uznał, że musi zabrać się do dalszej pracy. Podnoszenie się z kanapy okazało się jednak czynnością znacznie trudniejszą niż siadanie. Joe skrzywił się z bólu, ale jakoś wstał, trzymając za udo.

Dzisiejszego wieczoru czekało go trudne zadanie. Musiał doprowadzić do porządku resztę domu. W tego rodzaju pracach miał małe doświadczenie. Sprowadzało się tylko do drobnych napraw mebli.

Mógł zabrać wazę Ch'ien Lung i natychmiast opuścić ten dom. Mógł także posłużyć się wazą do wydobycia z Sophie informacji, co stało się z resztą kolekcji. Zastanawiał się, czy wpadła w łapy złodzieja, który zdewastował dom. Po namyśle uznał, że włamywacz jej nie znalazł. Dlatego zdemolował mieszkanie, wyładowując w ten sposób całą swoją złość.

Dlaczego wszystko musi być tak diabelnie skomplikowane? z westchnieniem pomyślał Joe. Przecież Sophie nie jest złodziejką. Nie dokonała żadnej kradzieży. Mogła podejrzewać, a właściwie wiedziała, gdyż sam jej o tym od razu powiedział, że chińska kolekcja nie pochodzi z uczciwego źródła. Ale to nie czyniło jej winną.

W ciągu ostatnich kilku dni poglądy Joego na tę sprawę zmieniały się wielokrotnie, i to na zupełnie przeciwne. Podobnie jak ocena postępowania Sophie Bayard.

Ale co, do diabła, ma robić kobieta w ciąży, bez środków do życia i jakiegokolwiek rodziny? I to kobieta, która została uwiedziona, okradziona, porzucona i doprowadzona do ruiny. Z dzieckiem w drodze i bez przyjaciół, którzy mogliby udzielić jej mądrej rady, nic dziwnego, że nie oparła się pokusie.

Jak dużą część kolekcji zdążyła sprzedać przed jego przyjazdem?

Joe wszedł do zdemolowanej kuchni. Żałował, że w ogóle usłyszał o istnieniu Sophie Bayard. A także o Rafaelu Davisie. Żałował, że dziadek, zamiast zbierać antyczną chińszczyznę, nie kolekcjonował motyli.

Gdyby decyzja należała do Joego, dałby spokój całej sprawie z Sophie Bayard. Ale liczyła na niego babka Emma i to było najważniejsze.

„Joey, odszukaj nefryty Jonniego i przywieź je do domu”, prosiła. Leżąc na obszernym łóżku, wyglądała jak delikatna porcelanowa figurka. „Oprócz ciebie nie mam już nikogo”, dodała.

Daisy i Donna najwcześniej wyfrunęły spod jej skrzydeł. Żyły teraz własnym życiem, bardzo intensywnie, korzystając z jego dobrodziejstw tak zachłannie, jakby zaraz miało się skończyć. Żona Joego była osobą nie zrównoważoną. Z całej rodziny Danów przy zdrowych zmysłach pozostało tylko dwoje. Babka Emma i on.

Często sobie to powtarzali, żartując z takiego stanu rzeczy, mimo że tak naprawdę nie było w tym nic śmiesznego.

Gdy babka Emma miała wylew, przerazili się wszyscy.

Jednego ranka siedziała w bibliotece z filiżanką kawy i jak zwykle czytała najnowsze wiadomości giełdowe. Trzy godziny później do biblioteki weszła gospoia, przynosząc codzienną korespondencję. Babka Emma siedziała nadal bez ruchu, z dziwnie przekrzywioną głową. Oczy miała otwarte, ale na nic nie reagowała. Gospoia wezwała pogotowie i zadzwoniła do Joego. Zanim przyjechała karetka, on był już na miejscu.

Przez całą drogę do szpitala mówił do babki, usiłując wyrwać ją ze stanu odrętwienia. Był przerażony całkowitym brakiem jej reakcji.

Przez pierwszy tydzień prawie nie odstępował łóżka babki. Tylko wtedy, kiedy wieziono ją na terapię lub jakieś badania, gnał do domu, żeby umyć się i

przebrać, a także przejrzeć ostatnią korespondencję, aby móc opowiedzieć o niej babce. Słyszała i być może rozumiała, ale nie mogła odpowiedzieć.

Czytał jej wszystko, nawet listowne reklamy. Mówił i mówił. O wszystkim, co przyszło mu do głowy. Pewnego ranka, gdy lekko ścisnęła mu palce, rozplakał się ze wzruszenia.

Tego dnia złożył rezygnację z pracy w policji. Uznał, że już dłużej nie może być stróżem prawa.

W policji w Dallas przepracował czternaście lat. Dorobił się stopnia sierżanta wywiadowcy. Na początku podobała mu się robota, którą wykonywał. W miarę upływu lat przekonywał się jednak, jak bardzo jest beznadziejna. Pozostawało nie rozwiązanych wiele zagadek kryminalnych. Mnożyła się liczba przestępstw. Praca policjanta stawała się i frustrująca, i skłaniająca do depresji. A także do cynizmu, nie mówiąc o wódce. Widząc, co się dzieje, załamywali się nawet najlepsi. Wiedzieli, że nie mają cienia szansy naprawienia tego świata.

Tak więc Joe rzucił pracę w policji i zajął się babką Emmą. Pomógł jej wydobrzcć, przywrócił do życia. Odzyskała sprawność w siedemdziesięciu procentach, przy czym lekarz orzekł, że w jej wieku jest to świetny wynik.

Joe żartował, że nie będzie tak dobrze jak niegdyś grała w tenisa, ale babka już się nie śmiała z jego dowcipów. Snuła się po domu zbyt dużym i zbyt pustym. Straciła zainteresowanie tym, co wokół się dzieje. Przestała ją interesować praca charytatywna, a także rodzina. Daisy i Donna regularnie odwiedzały babkę, ale żadna z nich nie chciała zamieszkać z nią na stałe. Miały swoje życie.

Poza tym obie siostry zawsze działały babce na nerwy. Nazywała je gąskami, a one, poza jej plecami, nazywały ją królową Wiktoria.

Jak w kalejdoskopie przed oczyma Joego przesuwały się sceny z przeszłości. Uśmiechał się z zadumą. Niemal słyszał głos mówiącej babki: „Młoda damo, natychmiast maszeruj na górę i ubierz się przyzwoicie!” albo „Zmyj z twarzy ten malunek. Wyglądasz jak ladaco!”, a także „Damy się nie garbią. Wyprostujcie plecy!”

Już wtedy była zbyt stara, aby radzić sobie z wychowywaniem krnąbrnego chłopca i dwóch rozpuszczonych dziewczynek. Dopiero po latach Joe to zrozumiał.

Otrząsnął się ze wspomnień. Odszukał worki na śmieci, szczotkę i śmietniczkę.

Chyba bardziej przydałyby mu się grabie.

Sprzątał, jak potrafił, ciągle myśląc o przerażeniu, w jakie wpadnie Sophie na widok zdemolowanego domu.

Nie, Sophie się nie załamie. To do niej niepodobne. Na początku będzie trochę zaszokowana, na jej miejscu każdy byłby wstrząśnięty, ale szybko weźmie się w garść.

Przypisywał jej coraz więcej pozytywnych cech.

Późnym wieczorem zadzwonił do szpitala.

– Co z małą? – zapytał Sophie. – Wracacie rano do domu?

– Och, Joe, z Iris wszystko jest w porządku! Przed chwilą ją nakarmiłam i od razu zasnęła. Już wcale nie ma gorączki.

Joe przełożył słuchawkę do drugiej ręki, oparł się o ścianę i skrzyżował kolana. Widział Sophie oczyma duszy. Jej lekki, nieśmiały uśmiech i błyszczące oczy. Malującą się na twarzy radość, że może podzielić się z nią miłą nowiną, a zarazem niepewność, czy to go interesuje. Nadal nie do końca wierzyła w siebie. Joe zastanawiał się, co stało się z jej rodziną i jaka była, będąc dzieckiem.

– Świetnie – odparł. – O której mam jutro po was przyjechać?

– Joe, nie musisz...

– Sophie, o której mam być?

Umówili się na dziesiątą. Joe skończył rozmowę i zadzwonił do babki Emmy. W Dallas była wcześniejsza pora, więc nie musiał się obawiać, że ją obudzi. Często przez pół nocy oglądała telewizję, oświadczając, że dzięki temu łatwiej zasypia. Przed wylewem miała zwyczaj oglądać serial „Słoneczny patrol”. Joe żartował, że lubi patrzeć na rozebranych chłopaków, a babka Emma stwierdziła, że na łące za domem powinni zbudować basen. Tak żeby jej wnuki – o ile kiedykolwiek się ich doczeka – mogły nauczyć się pływać.

Joe opowiedział babce o odnalezieniu nefrytowej wazy i o tym, gdzie była ukryta. Wydawało mu się, że w głosie starej damy wyczuwa nutę rozbawienia. Było to coś nowego. Ostatnio na prawie wszystko pozostawała obojętna.

– Sprytna kobieta – oświadczyła. – Dzisiaj złodziejom zupełnie brak profesjonalizmu. Nie to co w czasach mojej młodości... – Westchnęła. – Pamiętam tę sprawę w Chicago. Rozpisywały się o niej wszystkie gazety...

Głos babki się jakby rozplątał. Zamilkła. Sprawa przestała ją interesować. Mimo to Joe oznajmił, że nie wierzy, iż Sophie była złodziejką. Związała się tylko z nieodpowiednim mężczyzną.

– W moich czasach... – zaczęła stara dama i znów zamilkła.

Joe tracił z nią kontakt. Już chciał się pożegnać i odłożyć słuchawkę, gdy nagle usłyszał jej głos.

– Czy dziecku ubyło na wadze? – spytała.

– Dlaczego miałyby ubyć? Ach, masz na myśli skutek gorączki?

– Zaraz po urodzeniu dzieci tracą na wadze. Tak było z twoim ojcem. Tłumaczyłam Jonniemu, że to nic złego i nie ma się czym martwić, ale on się obawiał, że dziecko będzie karłowate, jak wszyscy w mojej rodzinie.

Joe rozpromienił się. Babka Emma nie tylko poruszyła nowy temat, lecz także go rozwinęła. Miał ochotę krzyczeć z radości. Jeszcze przez chwilę rozmawiali o jego ojcu i o tym, że bardzo urósł, będąc w ostatniej klasie liceum.

Joe cieszył się, że babka wreszcie czymś się zainteresowała. Wolałby tylko, żeby chodziło nie o przeszłość, lecz o teraźniejszość.

Następnego ranka, jadąc do szpitala, Joe zatrzymał się przy pawilonach handlowych. Odnalazł sklep zoologiczny. Nie mieli akurat rybek identycznych jak poczciwy Darryl, który nie przeżył domowego kataklizmu, więc Joe nabył nowe akwarium wraz z pełnym wyposażeniem, a także parkę złotych rybek. Nie grzeszyły urodą.

Ponieważ panował upał i Joe nie wiedział, kiedy wraz z Sophie i Iris dotrą z powrotem do domu, zaopatrzył się w przenośną lodówkę i włożył do niej pojemnik z rybkami.

Mijając kwiaciarnię, kupił duży bukiet kwiatów, które przypominały mu Sophie. Były duże i żółte, z szarzielonymi liśćmi. Nabył także maleńki bukietek różowych pączków dla panny Tłuscioszki.

Ruszył w dalszą drogę, już więcej nie naruszając zawartości portfela. Poczynione zakupy uznał za element taktyki mającej na celu odwrócenie uwagi Sophie od tego, co zobaczy po powrocie do domu. Kwiaty miały również symbolizować przeprosiny za to, co czekało ją z jego strony.

Szpital zdołali opuścić dopiero przed południem, gdyż spóźnił się lekarz, który miał wypisać Iris. Sophie z ożywieniem relacjonowała Joemu jego ostatnie zalecenia.

– Polecił obserwować Iris i gdybym zauważyła jakikolwiek ślad infekcji bądź podrażnienia skóry, mam natychmiast skontaktować się ze szpitalem. Dał mi też jakiś środek łagodzący swędzenie.

Joe wziął dziecko i torbę z pieluchami, resztę rzeczy zostawiając Sophie. Dostrzegł zaciekawione spojrzenia jakiejś starszej pary. Miał ochotę powiedzieć im, że nie jest ojcem Iris ani mężem Sophie. A także oświadczyć, że ani dziecko, ani jego matka nic dla niego nie znaczą.

Jutro ruszy w drogę powrotną do Teksasu, wioząc z sobą to, co pozostało z chińskiej kolekcji, a Sophie będzie mogła znów zabrać się do pracy w ogrodzie i opiekować się dzieckiem.

Jak mógł, starał się opóźnić dotarcie do zdemolowanego domu. Zawiózł Sophie do warsztatu, aby odebrała swój samochód. Pod pretekstem, że jest bardzo głodny i wiele zje, zapłacił za lunch i zakupy, które zrobiła. Gdyby wiedział, że Sophie na to przystanie, zawiózłby ją nawet do ogrodu zoologicznego Ashboro.

W pewnym momencie pomysły Joego opóźniające powrót do domu wyczerpały się. Poza tym panował upał. Obie złote rybki pewnie pływały już brzuskami do góry, a kwiaty zwiędły. Iris zaczynała być niespokojna i popłakiwać, a Joe wiedział, że Sophie nie zechce rozpiąć sukienki i karmić dziecka na przednim siedzeniu swojego samochodu.

Dochodziła trzecia, kiedy wreszcie podjechali pod dom. Joe był przygotowany na najgorsze. Mimo iż najlepiej jak potrafił uprzątnął zdemolowane wnętrze, cały dom nadal wyglądał tak, jakby przeszedł przezeń huragan. Każdy gliniarz na pierwszy rzut oka rozpoznałby, co się stało.

Zanim weszli do środka, Iris dostała ataku płaczu. Na przodzie sukienki Sophie widniały ciemne plamy.

– Lepiej od razu ją... – Zamilkła. Jak wryta stanęła na progu saloniku. – Coś tu jest nie tak – stwierdziła ze zmarszczonym czołem. – Ten niebieski fotel nie powinien stać przy oknie, bo obicie wypłowieje... Gdzie jest Darryl?

– Najpierw włóżmy Iris do łóżeczka, a potem o tym pogadamy – siląc się na spokój zaproponował Joe.

– Jest głodna. Muszę od razu ją nakarmić. Co stało się z moimi obrazami?

Obrazy wiszące na ścianach, podobnie jak wiele innych przedmiotów, zostały zniszczone.

– Joe? – Oczy Sophie zrobiły się ogromne jak spodki. Pojawił się w nich strach. – Co tu się stało? – spytała słabym głosem.

– Wszystko ci wytłumaczę, ale najpierw zajmij się dzieckiem. Nakarm Iris, a ja tymczasem przyniosę z furgonetki resztę rzeczy.

Ruszył w stronę wyjścia, lecz po chwili się zatrzymał. Sophie szła przez hol.

– Idź lepiej do kuchni – poradził.

– Wolę... Och, nie! Tylko nie ten pokój! Joe, o Boże...!

Bandzior nie oszczędził dzieciennego pokoju. Zdemolował cały dom, nawet pokój na piętrze, zajmowany przez Joego. Oprócz łóżka nie było tu żadnych mebli, ale wszystkie jego osobiste rzeczy wyrzucono na podłogę. Nic nie zginęło. Oprócz fotografii.

Joe nie chciał rozpoczynać rozmowy, dopóki Sophie nie otrząśnie się z szoku. Było oczywiste, że złoczyńcy chodziło tylko o jedno. O chińską kolekcję.

Usiedli w kuchni, gdyż tu – przynajmniej na pierwszy rzut oka – zniszczenia były najmniejsze i mało zauważalne. Pili ze szklanek z różnych kompletów. Na blacie stołu widniała potężna rysa.

– A więc – zaczął Joe, nalewając Sophie i sobie herbaty do szklanki i myśląc o skradzionym z mieszkania komputerze, czego jego właścicielka jeszcze nie zauważyła. – Wczoraj, kiedy byliśmy w szpitalu, ktoś włamał się do twego domu i wszystko zdemolował. Jak sądzisz, dlaczego to zrobił?

Sophie poszarżała na twarzy. Milczała.

– Oboje wiemy, czego tu szukano – ciągnął Joe. – Nie sądzę jednak, aby rabuś wyszedł stąd usatysfakcjonowany. Ze złości zdemolował wnętrze. Sophie, ja wcale cię nie oskarżam – dodał szybko. – Te przedmioty dostałaś od Davisa i nie miałaś pojęcia, że pochodzą z kradzieży. Teraz już o tym wiesz. I zdajesz sobie sprawę z tego, że oprócz nas obojga jest jeszcze ktoś, kto wie, że są w twoim posiadaniu. Więc co chcesz z nimi zrobić? Wyjaśnisz wszystko na policji i oddasz kolekcję jako dowód rzeczowy? Powierzysz ją mnie, żebym mógł ją zwrócić prawowitemu właścicielowi? A może udasz, że nic się nie stało, i będziesz miała nadzieję, iż kiedy ktoś znów się tu włamie, nie zastanie cię w domu? Milczała.

Zgnębiony Joe wolałby, żeby powiedziała choć jedno słowo we własnej obronie. Byłoby mu wtedy znacznie lżej. Nie czułby się tak jak mężczyzna rzucający kamieniem w bezbronną kobietę.

– O rany, Sophie! Załatwmy całą tę sprawę między sobą! Wazę Ch'ien Lung już odnalazłem. Oddaj mi resztę kolekcji. Gdy tylko to zrobisz, natychmiast rozpowszechnię wiadomość, że nic już u ciebie nie ma. Wystarczy parę zdań zamieszczonych w gazecie. Będziesz wtedy względnie bezpieczna, ale na wszelki wypadek zastosujemy w twoim domu środki zapobiegawcze włamaniom. Założymy dobre zamki, system alarmowy, kupimy psa. I wtedy...

– Nie.

– Co: nie?

– Nie zgadzam się na psa.

Joe odetchnął z ulgą. Sophie zareagowała właściwie. Kamień spadł mu z serca.

– Nawet malutkiego? – usiłował żartować.

– Nie chcę żadnego psa.

Joe uznał, że najgorsze mają już za sobą. Teraz wszystko powinno potoczyć się gładko.

– W porządku. Psa nie będzie – ustąpił. – Może go zastąpić agresywna papuga, rzucająca się na obcych.

Miał już wszystkiego dość. Poczul, jak ogarnia go zmęczenie. Opadł ciężko na fotel i zamknął oczy.

Parę minut później Sophie poszła za nim do holu, gdzie zostawił przenośną lodówkę i resztę zakupów poczynionych w sklepie zoologicznym.

– Potrzebna mi twoja pomoc – oznajmił. – O rybach wiem tylko tyle, ile zdołałem wyczytać w restauracyjnych kartach potraw.

Przez cały czas spod oka obserwował Sophie. Obejrzała wszystko dokładnie. Potem zabrała się do systematycznych porządków. Złodziej ukradł jej komputer, więc nawet nie mogłaby wykonywać swoich drobnych, zlecanych jej prac, dopóki nie zstąpi go innym. To, że policja odnajdzie komputer, było bardzo mało prawdopodobne.

Sophie wyszła przed dom i w milczeniu długo patrzyła na ogród, tak jakby z widoku paru warzywnych grządek czerpała wewnętrzny spokój i siłę przetrwania życiowych przeciwności. Jeśli naprawdę jest to zajęcie relaksujące, pomyślał Joe, obserwując Sophie przez kuchenne okno, to być może on sam też zabierze się do prac ogrodowych.

Do uporządkowania pozostało w domu jeszcze wiele rzeczy. Obrazy wymagały oprawienia na nowo i oszklenia. Książki poukładania na półkach, a fotografie włożenia do starego albumu.

Wieczorem gdy Sophie była zajęta karmieniem dziecka, Joe zaczął uważnie oglądać jedną z jej starych fotografii.

Na zdjęciu Sophie mogła mieć jakieś osiem lat. Już wówczas wysoka, dobrze zbudowana, w oczach większości ludzi musiała uchodzić za brzydkie dziecko. Z wystającymi kolanami, dużymi zębami i w workowatej, nie pasującej na nią sukience wyglądała nieatrakcyjnie. Mrużąc oczy od słońca, stała z ponurą miną i czekała, aż fotograf wykona swoje zadanie.

W tle widniał jakiś duży dom, wyglądający na jakąś instytucję. W pobliżu było widać kilkoro dzieci, a na schodach kobietę o surowych rysach twarzy.

Patrząc na dziewczynkę z fotografii, Joe poczuł, jak coś ścisnęło go za serce. Donna i Daisy miały kiepskich rodziców, ale jako małe dzieci nigdy nie były zaniedbywane przez matkę. Ubierała je ona w kosztowne sukienki i denerwowała się, gdy je pobrudziły. Kupowała córkom drogie zabawki, przeważnie lalki. Śliczne i eleganckie, takie do podziwiania.

Przez całe lata Joe niemal co dzień wysłuchiwał rodzicielskich kłótni, ciągnących się długo w nocy. Wzajemnych oskarżeń, pomówień i gróźb. Często zdarzało się, że wstawał wtedy z łóżka, szedł do toalety i zamknawszy za sobą drzwi, długo wymiotował.

Takie były rozkosze małżeństwa. Rodziców, jego własnego, obu sióstr, a być może nawet dziadków. Niektórzy mężczyźni nie umieją uszczęśliwić kobiet. W dzisiejszych czasach spotyka się wiele takich przypadków.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ta kobieta stanowi moje przeciwieństwo, pomyślał Joe o Sophie Bayard. Stał na frontowym ganku, wsłuchując się w rechotanie żab i odgłosy cykad. Sączył mrożoną herbatę i żałował, że to nie piwo. Przez cały czas myślał o tej Sophie.

Była łagodna i słodka, podczas gdy on był twardy i zgorzkniały. Miała uzasadnione powody, aby myśleć o przyszłości. Dla niego jedyną osobą, o jaką musiał się troszczyć, była osiemdziesięcioletnia stara dama, która, jeśli szybko nie wyjdzie z depresji, może nie dożyć następnego wylewu. A gdy jej zabraknie...

Joe nie chciał nawet o tym myśleć. Dobrze wiedział, co go potem czeka. Będzie musiał pozbyć się rodzinnej siedziby, bo tego babka Emma życzyła sobie w testamencie. Miał więc sprzedać dom, a to, co za niego uzyska, wraz z resztą majątku podzielić na dwie równe części. Jedną otrzymają instytucje dobroczynne, drugą trójka spadkobierców.

Jeśli o niego chodzi, to mógł zrzec się wszystkiego. Dla niego babka Emma była całym światem i nic poza nią nie miało żadnego znaczenia.

Jedno było teraz pewne. Powinien jak najszybciej zwijać żagle i ruszać w drogę powrotną do Teksasu.

Sophie bywała bardziej wściekła niż w tej chwili, ale teraz miała już wszystkiego serdecznie dość. Nie, nie powodował ją strach. Szybko minęło początkowe przerażenie. Na szczęście, nikomu nie stało się nic złego. Zginął tylko biedny Darryl. Sophie żałowała złotej rybki.

Dzięki Bogu, że na miejscu był Joe. To zdumiewające, ale ani nawet przez sekundę nie pomyślała, że mógł maczać palce we włamaniu. Czy to o czymś świadczyło? Nie miała pojęcia.

Może i świadczyło. Nie zamierzała jednak nad tym się zastanawiać. Nie mogła sobie na to pozwolić. Miała na głowie inne sprawy.

Nakarmiona Iris leżała spokojnie w łóżeczku. Obie złote rybki pływały w nowym akwarium. Joe czekał na frontowym ganku. Sophie nie miała już żadnej wymówki, aby wciąż odraczać zasadniczą rozmowę. Jedyne, co ją powstrzymywało, to przykra świadomość, że gdy tylko odda Joemu resztę kolekcji, on natychmiast ją opuści. Znacznie mniej żałowała utraty cennych przedmiotów, które zapewniłyby jej bezpieczną przyszłość, niż Joego.

Myśl ta napawała Sophie głębokim smutkiem.

Podeszła do frontowych drzwi. Wiedziała, że Joe usłyszał, gdy je otwierała, ale nie odwrócił się w jej stronę. Nadal stał przechylony nad pomalowaną na biało balustradą, ze wzrokiem wbitym w otaczające ciemności, od czasu do czasu rozświetlane przez przejeżdżający szosą samochód. Joe trzymał coś w ręku. Szklanę. Światło padające z okna saloniku odbijało się od niej i od stalowej bransolety jego zegarka. Rozjaśniło od tyłu górną część wytartych dżinsów.

Stojąc w drzwiach, Sophie poczuła nagle ochotę, żeby podejść do Joego i objąć go. Był to czysty idiotyzm. Co się z nią dzieje? Pokarm dla Iris uderza jej do głowy?

Czy tak zachowuje się świeżo upieczona matka stojąca na granicy bankructwa, której dopiero co zdemolowano dom? Patrzy pożądlivym wzrokiem na byłego gliniarza z Teksasu? Boże, litości!

– Wychodzisz na ganek czy zostajesz w środku? – zapytał Joe na widok Sophie stojącej nieruchomo w otwartych drzwiach domu.

– Wychodzę.

– Tu, na wsi, wcale nie jest cicho, mimo że wokół panuje spokój – stwierdził. – Słysząc wiele różnych odgłosów.

- Brakuje ci wielkomiejskiego zgiełku?
- Chyba nie. No, może trochę.
- Jeśli człowiek ma inklinację do samotności...
- Ja nie mam – zaprzeczył szybko.

Sophie poczuła rozczarowanie. Miała nadzieję, że Joe do tego się przyzna, a potem zapyta ją, czy nie potrafi temu zaradzić.

Stając za plecami Joego tak blisko, że mogła dosłyszeć jego powolny oddech, odezwała się cicho:

– Ja też nie. A zresztą mam teraz zbyt wiele planów, żeby w ogóle nad tym się zastanawiać. Poczekam, aż Iris skończy trzy miesiące, i wtedy zacznę rozglądać się za takim miejscem pracy, w którym zapewnią mi całodzienną opiekę nad dzieckiem. Sporo instytucji zakłada żłobki. W banku powiedziano, że otrzymam referencje. I wieczorami nadal będę mogła pracować dla agencji, sporządzając zestawienia drobnych ogłoszeń. Gdy tylko będzie mnie stać na nowy komputer. I...

– Sophie, gdzie to jest?

– Masz na myśli komputer? Znajdował się...

– Świetnie wiesz, o czym mówię. Sądzę, że włamywacze nie znaleźli tego, po co przyszli. I dlatego z wściekłości zdemolowali ci cały dom.

Sophie skrzyżowała ręce na piersiach. Rzuciła Joemu ponure spojrzenie.

– To nie moja wina – oświadczyła. – A zresztą skąd wiesz, że to byli oni, a nie on?

– Albo ona?

Joe powiedział Sophie o śladach opon, które znalazła policja. Nie pasowały ani do jej samochodu, ani do jego furgonetki. A także o dwóch rodzajach odcisków butów. Męskich i damskich. Sam odkrył ślady jednego z

włamywaczy, gdyż w pośpiechu przeszukiwał tylko niewielki teren wokół domu, a poza tym niepokoił się o Sophie.

Mówi się, że lekarze nie powinni zajmować się własnymi rodzinami. Taka sama reguła powinna dotyczyć policjantów. Tracą dystans.

– Złotko, przestań wreszcie grać na zwłokę – powiedział znużony Joe. – Musimy załatwić tę sprawę, dobrze o tym wiesz. Jeśli nie ze względu na ciebie, to dla dobra Iris. Kiedy tylko stąd wyjadę, znów będziesz miała wizytę złodziei. Nie dadzą ci spokoju. Za pierwszym razem, gdy się zjawili, na podjeździe nie było ani twojego samochodu, ani mojej furgonetki. Wiedzieli, że dom jest pusty.

– Przestań. Nie chcę w ogóle o tym słuchać. Naprawdę. Joe nie dawał za wygraną.

– Być może następnym razem nie będą zważali na to, czy w domu ktoś jest, czy nie. I co wtedy?

– Być może nie będzie następnego razu. Skąd pewność, że nie znaleźli tego, czego szukali? Może przekonali się, że nie ma tu nic cennego.

– Sophie, gdzie to jest?

– Och, na litość boską! – wykrzyknęła.

Miała nerwy napięte do ostatnich granic. Gwałtownie zamachała rękoma i niechcący wytrąciła Joemu szklanekę z mrożoną herbatą. Kostki lodu posypały się na kwiatową grządkę. Szklanka uderzyła o podłogę ganku i potoczyła się w kąt.

Sophie zakłęła i zaraz potem wybuchnęła płaczem. Ani jedno, ani drugie nie zdarzało się jej często.

Joe też zmełł pod nosem przekleństwo. I jakby to była najzwyklejsza rzecz pod słońcem, wziął Sophie w ramiona. Wiedział, że tę kobietę musi

gwałtownie przyprzeć do muru. Mimo to jednak powiedział uspokajającym tonem:

– Nie płacz, słonko. Nie ma się czym przejmować. Nikomu nic się nie stało. I nic się nie stanie, jeśli założysz przyzwoity system przeciwwłamaniowy.

Nie była to prawda. Oboje o tym wiedzieli.

– A kto usłyszy syrenę? Mój nieżyczliwy sąsiad mieszkający dwa kilometry stąd? – z goryczą spytała Sophie. – Wszyscy włamywacze wiedzą, jak unieruchomić alarm. Przecinają przewody i robią różne inne rzeczy.

Joe nie zamierzał wdawać się w szczegóły techniczne najwyższej klasy systemu alarmowego. Na taki Sophie nie byłoby stać. Być może nie będzie jej nawet stać na wykarmienie psa, którego zamierzał dla niej kupić, ale musiał jakoś przemówić do rozsądku tej kobiecie.

Miło było trzymać Sophie w objęciach. Usiłował nazwać swój uścisk braterskim lub ojcowskim, ale nie mógł tego zrobić. Była zbyt kobieca. Ciepła. Pachnąca dzieciennym pudrem i ziołowym mydłem. Każdy mężczyzna, który w takiej chwili chciałby wykorzystać tę kobietę, okazałby się ostatnim łajdakiem.

Wcale nie zamierzał wykorzystać Sophie Bayard. Chciał tylko zadbać o jej bezpieczeństwo, zanim – odzyskawszy to, po co przyjechał – ruszy w drogę powrotną do Teksasu.

Żeby się uspokoić, Sophie głęboko westchnęła. Zsunęła ręce z ramion Joego i odepchnęła go.

Puścił ją od razu. Znowu westchnęła. Tak naprawdę wolałaby ukryć się w jego ramionach na następne kilka lat, niż zrobić to, co uczyniła przed chwilą. Zwyciężył rozsądek.

– Idę po łopatę – oznajmiła stanowczo. Joe spojrział na nią ze zdumieniem.

– Wrócisz? – zapytał.

– Czy możesz zapalić światło za domem? Drugi wyłącznik jest na drzwiach od podwórza. Nasłuchuj, czy Iris nie płacze.

Sophie zeszła po schodkach z ganku i ruszyła na tyły obejścia.

Jej zachowanie było zaskakujące. Joe postanowił sprawdzić, co zamierza zrobić. Przeszedł przez środek domu i parę chwil później znalazł się obok niej, na odległym krańcu warzywnika.

Stanąła przy pierwszej z brzegu grządce. Ostrożnie nacisnęła nogą na szpadel i powoli wykopała skibkę gliniastej ziemi. Pierwszą, drugą i następną.

Joe obserwował ją w milczeniu.

– Oto pierwszy – oświadczyła, podając mu oblepiony ziemią worek plastikowy. Zawierał coś ciężkiego i twardego.

Chwilę później przesunęła się do następnej grządki i powtórzyła wszystkie poprzednie czynności. Joe odbierał od niej plastikowe woreczki. Było ich w sumie dwanaście.

A więc sprzedała tylko jeden nefrytowy przedmiot będący częścią chińskiej kolekcji, pomyślał. Znalezionej wazę Ch'ien Lung umieścił na dnie nowego akwarium. Uznał, że jest to schowek równie dobry jak każdy inny.

Ale nie tak bezpieczny jak pod pierwszą rośliną na krańcu każdej warzywnej grządki.

– Skąd przyszło ci do głowy, żeby zakopać te przedmioty?

– Nie mam sejfu. Nie mieściły się w skrzynce depozytowej w banku. Są zbyt pękate. A poza tym ludzie od wieków zakopywali cenne rzeczy i, o ile wiem, robią to nadal.

– Jasne.

Joe przypomniał sobie historyjkę sprzed kilku lat, opowiadaną na komendzie. O żonie złodzieja, która w liście skierowanym do przebywającego

w więzieniu męża napisała, że łup zakopała na podwórzu za domem. Tydzień później doniosła mężowi, że cały ten teren został starannie przygotowany pod uprawę roślin.

Sophie oparła łopatę o ogrodzenie, wytarła zabrudzone ręce i nie oglądając się na Joego, ruszyła w stronę domu.

Poszedł za nią, niosąc plastikowe woreczki.

Chińska kolekcja była prawie w komplecie. Musiała mieć gigantyczną wartość. Nefrytowe przedmioty nie robiły na Joem żadnego wrażenia. Jego zdaniem były brzydkie. Nie dałby za nie nawet pięciu dolarów. Chociaż niektóre z nich były niezwykle kunsztownie rzeźbione. No i miały całkiem ładną barwę, jeśli ktoś lubi zieleń. Odcień bladego khaki łączył się z kolorem lodowej sałaty. Ze wszystkich przedmiotów, które kolekcjonował dziadek i które znajdowały się w imponującym, obszernym szesnastopokojowym domu zbudowanym na początku tego wieku, Joemu najmniej podobały się nefrytowe skarby. Miał prymitywne gusta. Wolał pamiątki baseballowe.

Siedzieli teraz przy kuchennym stole, a przed nimi leżały rozłożone chińskie cudeńka.

Joe wyciągnął nogi i oparł łokcie na stole. Ogarnęło go zmęczenie. Zaczynała go boleć głowa.

Pierwsza odezwała się Sophie:

– Prawdę powiedziawszy, zaczęłam mieć nieczyste sumienie, gdy tylko usłyszałam, kim naprawdę był Rafe. Z drugiej jednak strony wiedziałam, że zajmuje się kolekcjonowaniem antykwarycznych przedmiotów i pośrednictwem w ich sprzedaży. Mógł stać się właścicielem chińskich cacek w całkiem uczciwy sposób. I podarował mi je. Pomyślałam, że chyba jednak nie miał zamiaru tego robić. Weszłam nieoczekiwanie do pokoju i

przypadkiem ujrzałam kolekcję, więc naprędce wymyślił, że to zaręczynowy prezent.

Sophie westchnęła. Oparła podbródek na dłoni i palcem dotknęła jednej z plastikowych torebek ubrudzonych ziemią. W tym to momencie Joe powiedział jej o nagrodzie.

– Dziesięć tysięcy dolarów... – usłyszał własny głos. Początkowo myślał o pięciu, lecz uznał, że w dzisiejszych czasach nie jest to zawrotna suma. Dziesięć tysięcy pomoże Sophie ustawić się na parę lat.

Podniósł głowę. W oczach Sophie dojrzał dziwny blask.

– Nie – odparła. – Dziękuję.

Joe zmarszczył czoło. Ostatnimi czasy nie zadawał sobie trudu, żeby sprawdzać stan swojego konta, ale był przekonany, że jego fundusz powierniczy bez większego uszczerbku pokryje taki wydatek.

– Może chodziło o dwadzieścia tysięcy – poprawił się szybko. – Dokładnie nie pamiętam.

– Joe, dziękuję. Wiem, co chcesz zrobić, ale ja nie mogę się na to zgodzić. W każdym razie dziękuję. Jestem ci wdzięczna.

Słowa te musiały wiele Sophie kosztować, pomyślał Joe. Poznał to po zmienionym brzmieniu głosu.

– Niczego nie robię – zaprotestował. – Mówię jedynie, że za odnalezienie kolekcji J. J. Dany wyznaczono nagrodę. Nawiasem mówiąc, nefrytowe przedmioty były ubezpieczone.

Nie potrafiła spojrzeć w oczy Joemu. Coś ścisnęło ją za serce. Między nimi wszystko było skończone. Teraz, gdy dostał to, po co przyjechał, mógł od razu ją opuścić. Nie było żadnego powodu, dla którego powinien zostać. Będzie jej bardzo brakowało Joego. Już zaczynała cierpieć. Nie pierwszy raz ktoś ją opuszczał, więc jakoś da sobie z tym radę.

Być może na tyle zmadrzeje, że już nigdy nie obdarzy uczuciem mężczyzny, który ofiaruje jej odrobinę ciepła. Nawet podwórzowe koty mają w głowach więcej rozumu, pomyślała.

– Sophie?

– Dam ci parę pudełek. Aha, oprócz nich będziesz potrzebował bibułki, żeby zawinać nią każdą sztukę z osobna. Pudełko z ozdobami choinkowymi znajduje się w...

– Sophie, posłuchaj mnie. Ta nagroda...

– Nie. Już ci powiedziałam. Nie przyjmę żadnej nagrody za to, co należy do twojej babki. Uznajmy sprawę za załatwioną. Dobrze? Będziemy kwita. Ty mi pomogłeś, gdy byłam w biedzie, a ja jestem zadowolona, że mogę zrobić ci tę przysługę.

Nerwowym ruchem Joe podniósł się z krzesła i zaczął przemierzać krokami niewielką kuchnię. Sophie niemal czuła energię promieniującą z jego ciała.

Milczał, więc mówiła dalej:

– Sądziłam, że będziesz wreszcie szczęśliwy! Przyjechałeś, żeby odszukać chińskie cacka twojej babki, znalazłeś je i nie kosztowało cię to ani grosza. Czego jeszcze chcesz? Gwiazdki z nieba? Kafelka z pieca?

– Co takiego? – zapytał zdziwiony, usłyszawszy ostatnie słowa Sophie.

– Tak mawiała moja matka. A przynajmniej sędzę, że tak było.

– Wróćmy do poprzedniego tematu – zaproponował Joe. – Jeśli nie chcesz wziąć tych pieniędzy dla siebie, to przynajmniej zrób to dla Iris. Wychowywanie dzieci dużo kosztuje.

– Nie potrzebuję niczyjej łaski.

Joe przeciągnął palcami po włosach. Był wyprowadzony z równowagi. Żeby się uspokoić, zaczął głośno liczyć. Doszedł do siedmiu, po czym nie wytrzymał.

– Zgoda. Ale wyjaśnij, dlaczego – zażądał. – Przynajmniej to mi powiedz.

– Przecież sprzedałam już jedną sztukę z kolekcji. I nie mogę zwrócić otrzymanych pieniędzy, bo je wydałam. Te przedmioty mają ogromną wartość. Zauważyłam wyceny na odwrocie fotografii, ale wtedy nie miałam o tym pojęcia. Antykwariusz dawał mi najpierw sto dolarów...

– Sto dolarów! – Joe poczerwieniał na twarzy. – Chyba nie...

– Jasne, że nie sprzedałam tej rzeczy za takie marne grosze. Nie jestem aż tak głupia. Skończyło się na tym, że dał mi... Nieważne, ile. W każdym razie znacznie więcej.

Joe przestał chodzić. Zatrzymał się przy stole.

– Nic już nie mów. Nie chcę niczego wiedzieć na ten temat. A więc to, co dostałaś ze sprzedaży, odliczysz od nagrody. Będiesz miała czyste sumienie.

– Nie. Odzyskałeś swoje skarby. I bądź szczęśliwy.

Joe nie wytrzymał. Objął Sophie. Mocno. Jak nigdy przedtem.

Wyczuła, że miotają nim różne uczucia. Złość, niepokój, rozczarowanie. I... i coś jeszcze.

– Joe – szepnęła.

– Nic nie mów – powtórzył.

I tak nie byłaby w stanie wymówić teraz ani słowa, choćby nawet od tego zależało jej życie. Odetchnęła głęboko. Zamknęła oczy.

Poczuła na ustach dotyk warg Joego. Ugięły się pod nią nogi. Zaczęła drżeć na całym ciele.

Nie całował, lecz lekko muskał jej usta wargami. Tak jakby obawiał się posunąć dalej.

W tej właśnie chwili usłyszała donośny krzyk Iris, domagającej się karmienia. Och, tylko nie teraz! jęknęła w myśli.

- Sophie – Joe wymówił jej imię.
- Muszę iść.
- Chciałbym zatrzymać cię przy sobie.

Ale mnie nie zatrzymasz, pomyślała z rozdartym sercem. Z największym trudem i samozaparciem wyswobodziła się z uścisku Joego. Poszła do sypialni. Usiadła na bujanym fotelu, rozpięła górną część sukienki i przyłożyła Iris do piersi. Po chwili przestała mieć jakąkolwiek nadzieję, że Joe za nią tu przyjdzie.

Oczywiście, został w kuchni. Bo niby dlaczego miałby tu się zjawić? Żeby oglądać zaniedbaną, źle ubraną kobietę karmiącą dziecko? Nie był to piękny widok.

Westchnęła. Postanowiła zacząć myśleć o rzeczach przyziemnych. O tym, co ją czeka i co powinna robić. Będzie musiała od razu przystąpić do działania, a nie zwlekać, aż Iris skończy trzy miesiące. W agencji, która ją zatrudnia do przygotowywania zestawień reklamowych ogłoszeń, musi postarać się o wypożyczenie komputera. Do tej pracy był jej niezbędny. Uzyskany zarobek nie starczy na życie, ale od czegoś trzeba zacząć.

A co do kupienia domu, to od razu lepiej o tym zapomnieć. Będzie miała wiele szczęścia, jeśli w ogóle wystarczy jej na komorne.

Sprawa ubiorów? Od razu zacznie się gimnastykować, żeby porządnie schudnąć. Tak aby mogła nosić ubrania sprzed porodu, kiedy znajdzie sobie jakąś pracę.

Gdy skończyła karmić, była już prawie spokojna. Joego nie zastała w kuchni. W łazience zobaczyła zaparowane lustro. Widocznie wziął prysznic i poszedł spać. Sophie poczuła obezwładniające zmęczenie. Zważywszy na przeżycia z ostatnich dwudziestu czterech godzin, nie było w tym nic dziwnego.

Obudziła się w środku nocy. Od strony kuchni dobiegały dziwne odgłosy. Boże! Złodzieje! pomyślała przerażona. Czyżby Joe zapomniał zamknąć okno w spiżarni?

Narzuciła szlafrok i boso ruszyła w stronę kuchni. Spod zamkniętych drzwi sączyło się światło. Sophie uznała, że sama powinna sobie poradzić, ale na wszelki wypadek postanowiła zawołać Joego. Z pewnością natychmiast się zjawi.

Westchnęła głęboko i z bijącym głośno sercem odważnie otworzyła kuchenne drzwi, równocześnie krzykiem wzywając Joego.

Z wrażenia upuścił pudełko z cukrem. Patrzył zdumiony na Sophie, ubrany tylko w bokserki i buty.

– Co się stało? – zapytał.

Rękoma zakryła twarz. Nadal jednak miała przed oczyma obnażone męskie ciało. Joe był wspaniale zbudowany. Szczupły w pasie, z płaskim brzuchem i zgrabnymi nogami. Nerwowo przełknęła ślinę.

– Nie chciałam cię przestraszyć.

– Obudziłem cię? Usiłowałem zachowywać się cicho, ale upuściłem wieczko od pojemnika z masłem.

– Myślałam, że to włamywacz.

– Przykro mi. Nie mogłem zasnąć. Pomyślałem, że coś sobie przegryzę...

Postawił na stole ser, masło i dżem. Przyniósł mleko i chleb.

– Zrobię ci kanapkę – zaproponował.

Jedli w milczeniu. Sophie starała się nie patrzeć na obnażone męskie ciało. Równocześnie jednak pragnęła, aby Joe ją uściskał. Na dobranoc. Wyłącznie po przyjacielsku. Wstała i ruszyła w stronę sypialni.

– Nadal nie jesteś śpiąca? – zapytał, idąc za nią.

– Nie przejmuj się mną. A zresztą, gdy tylko zasnę, od razu obudzi mnie Iris.

– Dotrzymam ci towarzystwa. Możemy usiąść sobie pod oknem i pogadać. O tym, czy wysłać Iris do szkoły morskiej, czy na pensję dla panienek. I jakiego kupimy psa. Samca czy sukę.

– Och, daj spokój – szepnęła Sophie. A kiedy Joe podniósł do ust jej dłoń, dodała: – Ciii... Nie obudzmy dziecka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dostałeś to, po co przybyłeś, pomyślał Joe. A teraz bierz nogi za pas. I uciekaj, nim zabrniesz za daleko.

Wiedział jednak, że tego nie zrobi. To znaczy nie ucieknie. Igrał z ogniem, ale przecież, do diabła, przez całe życie nie robił nic innego!

W sypialni Sophie znajdowały się dwa miejsca do siedzenia. Krzesło i fotel na biegunach. Joe szybko zajął fotel. Na szczęście, instynkt samozachowawczy trzymał go z dala od jej łóżka.

Jak dotychczas.

Iris spała smacznie. Sophie oparła stopy o łóżko. Wyglądała na onieśmioną.

– Lepiej już sobie pójdę i położę się – powiedział Joe, tłumiąc ziewnięcie.

– Chyba znów będę miała sny – oznajmiła Sophie.

– Niech będą miłe.

– Nie mam na to żadnego wpływu.

Zamilkli oboje.

Po dłuższej chwili pierwsza odezwała się Sophie:

– Chyba nie przypuszczasz, że...

– Czego nie przypuszczam?

– Och, idź już.

– Czego nie przypuszczam? – Ciekaw, co Sophie miała na myśli, Joe nie dawał za wygraną.

– Kiedy miałam złe sny, mama brała mnie do swego łóżka i przytulała.

Było mi wtedy tak... Nieważne.

– Chciałaś powiedzieć, że bezpiecznie?

Sophie skinęła głową.

Parę sekund później zupełnie nie wiadomo w jaki sposób oboje znaleźli się w łóżku. Roztaczało zapach słońca i ziołowego mydła. Zapach Sophie.

Mocno przywarła do Joego tylną częścią ciała. Poczuł w podbrzuszu ból pożądania. Żeby się opanować, zaczął liczyć do stu. Niewiele pomogło. Spróbował więc innego sposobu. Konwersacji.

– Nigdy nic nie mówiłaś o swoim ojcu. Jaki był? – zapytał.

– Mało o nim wiem. Na imię miał Sam. Walczył w Wietnamie. Pamiętam, jak mama potem mówiła, że z jakąś panią i z przyjaciółmi pojechał na Alaskę. Wyobrażałam go sobie, jak na lodowych pustkowiach prowadzi psie zaprzęgi. Nie jestem pewna, ale chyba od tamtej pory, gdy nas zostawił, mama już nigdy o nim nie usłyszała.

Joe zapytał Sophie o matkę.

– Miała na imię Althea. Zamiast kawy pijała gorącą herbatę i w szafie przechowywała woreczki z zasuszonymi kwiatami. Zaczęłam właśnie chodzić do pierwszej klasy, kiedy przyprowadziła mnie do dużego budynku z cegły i powiedziała, że musimy się rozstać na jakiś czas, ale że zawsze będzie w pobliżu, gdy tylko będzie mi potrzebna.

O rany, Joe jęknął w duchu. Nie chciał dłużej słuchać tych wynurzeń. Z czasów gdy był mały, miał zbyt wiele własnych przykrych wspomnień.

– Ciągle łudziłam się, że mama wróci. Czekałam i czekałam. Na próżno. Pewnego dnia mimo woli podsłuchałam rozmowę jednej z nauczycielek z gospodynią. Mówiła o biednej pani Bayard, która zmarła na okropną chorobę. Miała jakieś przerzuty. Dopiero po latach dowiedziałam się, że mama miała raka piersi.

Joe nie potrafił nikomu współczuć. Przez czternaście lat miał do czynienia ze wszystkim, co najgorsze. Zdążył się uodpornić na wszelkie nieszczęścia. Była to zła strona pracy w policji.

Pogłaskał Sophie po ramieniu i przysunął się bliżej.

– Moi rodzice zginęli, gdy miałem jedenaście lat – powiedział. – Mówiłem ci już, że mam dwie młodsze siostry, Donnę i Daisy? Możesz sobie wyobrazić, jacy to rodzice nazywają córkę Donna Dana?

Sądził, że Sophie się roześmieje, ale tego nie zrobiła. Usłyszał jej równy oddech. Zasnęła.

A więc wykonał zadanie. Uśpił ją. Powinien iść do siebie na górę.

Powinien, ale nawet nie drgnął. Pozostał na miejscu.

Nadal leżał i myślał. Sophie poprosiła, żeby przytulił ją tak, jak czyniła to jej matka. A może miała ochotę kochać się z nim? Nie. Przecież dopiero co urodziła dziecko.

Odetchnęła głębiej i poruszyła się we śnie. Joe znów poczuł przyływ pożądania. Żeby się uspokoić, zaczął myśleć o przyziemnych sprawach.

Sophie potrzebuje psa. A także przyzwoitego ogrodzenia wokół domu. Z siatki, a nie z pojedynczego drutu. Musi namówić ją, żeby je zbudowała. Dla dobra Iris.

A co do przeciekającego dachu...

Och, do licha. Może uda mu się wmówić w nią, że wygrała na loterii?

Sophie obudziła się w ramionach Joego. Promienie słońca wpadające przez okno oświetlały jego umięśniony tors.

Ciszę wczesnego poranka rozdarł przenikliwy dzwonek telefonu.

– Kto to może być? O tej porze? – zdziwiła się Sophie. Joe ożywił się błyskawicznie.

– Ja odbiorę – oświadczył. Podniósł słuchawkę. Przedstawił się i przez dłuższą chwilę słuchał rozmówcy. – Jasne – powiedział wreszcie. – Będę wdzięczny za dalsze informacje.

Gdy tylko skończył rozmowę, Sophie zaczęła domagać się wyjaśnień.

– Kto to był?

– Dzwonili z biura szeryfa. Złapali dwoje ludzi w okręgu Randolph.

Gdzie to jest?

Sophie machnęła ręką w południowym kierunku.

– Tych złodziei?

– Prawdopodobnie. Zamierzasz korzystać teraz z łazienki? Jeśli nie, to pójde się umyć.

Kiedy wrócił, Iris była już nakarmiona i ułożona do snu. Sophie wyszczotkowała włosy i związała je z tyłu głowy. Postanowiła nie myśleć o wyjeździe Joego. Potem będzie miała czas na to, by się zamartwiać. Chyba zakochała się w tym człowieku.

Poszli do kuchni.

– Kim są ci ludzie? – chciała się dowiedzieć.

– Idź wziąć prysznic, a ja tymczasem zrobię śniadanie.

– Gotowanie to damska sprawa.

– Nieprawda. Najlepszymi kucharzami są mężczyźni.

– Już upadła ta teoria – oświadczyła z przekonaniem. – Chętnie się umyję i ubiorę. Jak widzę, postanowiłeś powiedzieć mi o tych ludziach we właściwym, to znaczy dogodnym dla ciebie czasie. – Rzuciła Joemu pełne wyrzutu spojrzenie.

Przez głowę przebiegły jej nieprzystojne myśli i żadna z nich nie dotyczyła osób zatrzymanych przez policję w okręgu Randolph.

To wina hormonów, usprawiedliwiała się przed samą sobą. To one sprawiają, że niektóre kobiety wpadają w poporodową depresję, a inne wykazują objawy silnego zauroczenia mężczyzną.

– Wygląda na to, że twój antykwariusz nie jest wmieszany w sprawę próby kradzieży kolekcji, w przeciwieństwie do swojej pracownicy – zaczął Joe. – Kiedy klient informował, że ma coś cennego, skrzętnie notowała wszystkie jego dane, a potem okradała go wraz ze swoim kochankiem. Specjalizowali się w rabowaniu staroświeckiej biżuterii, ale nie gardzili też innymi drobnymi przedmiotami. Kradli wszystko, co można było upłynnić.

– Och, żal mi pana Lorrisa – powiedziała Sophie. – Ta wiadomość musiała nim wstrząsnąć. Wprawdzie najpierw próbował mnie oszukać, ale potem zachował się przyzwoicie. Chyba nawet patrzył na mnie z szacunkiem, kiedy się z nim targowałam.

Joe wzruszył ramionami. Miał na sobie koszulę z mokrym kołnierzykiem, bo woda z umytych włosów skapywała mu na plecy. Zaciął się przy goleniu. Na jego policzku widniała cienka, świeża szrama. Wszystkie takie spostrzeżenia Sophie starannie gromadziła, żeby użyć ich potem przeciw Joemu.

– Zostanie przesłuchany antykwariusz. Ty też pewnie będziesz poproszona o złożenie zeznania, ale to nie powinno być dla ciebie żadnym problemem.

Tak, to nie powinno być problemem. Joe ma rację, uznała Sophie. Ale z przykrością myślała o tym, co ją czeka.

– A więc zaraz wyjeżdżasz – powiedziała spokojnie. – Wiele dla mnie zrobiłeś. Sama nie wiem, jak mam ci dziękować...

– Nie dziękuj. – Joe wsypał trzecią łyżeczkę cukru do swojej kawy. – Na to jest jeszcze za wcześnie. Mówiłem, że mam tu trochę roboty. Trzeba założyć system przeciwwłamaniowy i...

– A ja powiedziałam, że to niepotrzebne, bo o siebie świetnie potrafię zadbać.

– A jakże – z przekąsem mruknął Joe. – Ty nawet nie potrafisz zapamiętać, czy zamknęłaś okno, czy nie.

Spojrzała na niego z rozżaleniem.

– Jesteś niesprawiedliwy i źle mnie oceniasz. Przez całe lata sama dbałam o siebie i nic mi się nigdy nie stało. A ponadto musisz przyznać, że ostatnio miałam sporo powodów do roztargnienia.

– Wystarczy jedno nieuważne posunięcie – mruknął. – Poza tym nie pierwszy to raz tak solidnie oberwałaś. Czyżbyś zapomniała o ojcu twego dziecka?

Sophie wstrzymała oddech.

– To wstrętne, co mówisz.

– Tak. Wstrętne. I takie miało być. – Joe rzucił jej gniewne spojrzenie. Najsurowsze, na jakie było go stać. – Odwiedziłem w okolicy parę firm instalujących systemy alarmowe i poznałem różne ich wersje. Wybrałem system, który najlepiej nadaje się do zabezpieczenia twojego domu. Dziś rano zjawi się tu ekipa techniczna, żeby rozpocząć robotę. Potem pojedziemy kupić psa. Musimy wypytać o możliwości ogrodzenia terenu, żeby zwierzak miał gdzie biegać.

Sophie straciła resztki cierpliwości. Wybuchnęła:

– Możesz się wypchać tym twoim psem, ogrodzeniem i alarmem!

– Posłuchaj, Sophie...

– Kupuj sobie psa, ogrodzenie i system alarmowy, pakuj to wszystko na furgonetkę i zabieraj wraz z sobą do Teksasu! A ja nawet pomogę ci się spakować.

Joe patrzył na nią zaskoczony. Nie rozumiał przyczyny takiej reakcji.

– Słonko, uspokój się – powiedział łagodnym tonem. – Nie krzycz na mnie.

– Wcale nie krzyczę. Będzie lepiej, jeśli już sobie pojedziesz. Czeka cię długa droga, a tutaj nic cię nie trzyma. Jest mi bardzo przykro, że sprzedałam jedno nefrytowe cacko, ale nie jestem w stanie już go odzyskać. Może firma ubezpieczeniowa wypłaci za nie odszkodowanie twojej babce. – Joe chciał przerwać Sophie, lecz mu na to nie pozwoliła i mówiła dalej: – Do końca życia będę ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś. Ale nie chcę od ciebie nic więcej. Ani alarmu, ani psa, ani niczego, za co nie byłabym w stanie sama zapłacić. I nie wezmę żadnej nagrody!

Zdumienie Joego rosło. Zupełnie nie pojmował zachowania się tej kobiety.

– Dlaczego? – zapytał. – Powiedz mi, Sophie, dlaczego jesteś tak piekielnie uparta? Przecież nie próbuję cię przekupić ani zrobić niczego w tym rodzaju. Wszystko, czego chcę, to jako tako cię zabezpieczyć. Zależy mi tylko na tym, żebym mógł wracać do domu, nie martwiąc się o los pewnej zwariowanej kobiety i jej dziecka. Chcę wyjechać stąd z czystym sumieniem.

Nie powstrzymał gniewu Sophie.

– Pozwolisz, że wszystko ci wyjaśnię. Po kolei – wyszczała przez zaciśnięte zęby, gotując się ze złości. – Po pierwsze, nie jestem ani piekielnie uparta, ani zwariowana. Po drugie, mam w nosie twoje sumienie. Nic mnie nie obchodzi, czy jest czyste, czy nie. Jeśli mojej córce trzeba będzie zapewnić bezpieczeństwo, sama o to zadbam. Po trzecie...

Co miała jeszcze powiedzieć? Ze zdenerwowania gubiła myślowy wątek.

– Aha. Chodzi o nagrodę. Stanowczo odmawiam przyjęcia jakichkolwiek pieniędzy, bo mi się nie należą, i...

Joe nie wytrzymał.

– To czysty idiotyzm! – warknął.

– Zamknij się, proszę. Teraz ja mówię! Nie wezmę żadnej nagrody, bo gdy tylko dowiedziałam się, kim naprawdę był Rafe, powinnam natychmiast iść na policję, oddać im wszystkie nefryty i poprosić, żeby odnaleźli ich właściciela i je zwrócili. A ja tego nie zrobiłam. Wmówiłam w siebie, że chińską kolekcję otrzymałam w prezencie, i, jako moją własnością, mogę nią swobodnie dysponować. Sprzedałam jeden przedmiot i wydałam wszystkie otrzymane pieniądze. Rozporządzałam nimi w sposób bardzo rozsądny, ale nie powinnam w ogóle ich dotykać, bo nie były moje. A potem zakopałam w ogrodzie pozostałe przedmioty z zamiarem sprzedawania sztuka po sztuce i zagospodarowania uzyskanych w ten sposób pieniędzy w podobnie przemyślany i rozsądny sposób, jak za pierwszym razem. Nie powinnam była tak postąpić, ale co się stało, to się nie odstanie. – Sophie zamilkła na chwilę. Nabrała głęboko powietrza. – Bez tych pieniędzy świetnie sobie poradzę. Nagroda też nie jest mi potrzebna. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałabym... zostać sama.

Zdumiony Joe patrzył na nią jak na dziwoląga.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Joemu spodobał się owczarek niemiecki. Od pierwszego wejrzenia Sophie poczuła awersję do tego zwierzaka. Wielki pies był wyniosły i antypatyczny, a ona – jak na jeden ranek – miała po dziurki w nosie samczej arogancji.

Była bliska wygrania sporu z Joem, gdy pod dom zajęchała niebieska furgonetka i wyskoczył z niej przedstawiciel firmy Syncho Systems, a za nim reszta ekipy.

Właśnie wtedy Iris dała o sobie znać. Rozpoczęła koncert. Zanim Sophie skończyła ją karmić i przewijać, cały dom znalazł się we władaniu obcych mężczyzn.

Panem sytuacji był Joe. Wydawał polecenia. Kiedy zaczynała protestować, rzucał jej jeden ze swoich nieco leniwych, seksownych uśmiechów, które doprowadzały ją do białej gorączki.

A teraz nabywała psa.

Stała się przedmiotem manipulacji. Nie było to dla niej nic nowego.

– A dlaczego nie ten zwierzak? – Wskazała ociężałą od nadmiaru tłuszczu, krótkonogą szarą sukę, mieszańca, o wyleniałej sierści i oczach pełnych pokory.

– Potrzebny nam pies obronny, a nie wycieraczka.

– Podoba mi się ta suka. Przypomina zwierzaka, którego kiedyś znałam.

– Sophie podeszła bliżej boksu z mieszańcem.

Szerszy niż dłuższy, patrzył na nią ogromnymi oczyma. Błagalnym wzrokiem. Miał chyba jakąś chorobę skórą. – Potrzebna ci tylko życiowa szansa, mam rację? – zwróciła się do suki, klękając i wsuwając palce między pręty, żeby zwierzę mogło je powąchać.

– Słonko, chodź już – ponaglił ją Joe. – Pomyśli, że się nią interesujesz.

Za każdym razem gdy Joe mówił do niej: słonko, Sophie czuła przyspieszone bicie serca.

– Bo to prawda – oświadczyła z naciskiem.

Joe zobaczył determinację i upór malujące się na jej twarzy.

– Jeśli już koniecznie muszę mieć psa, to sama go wybiorę – powiedziała stanowczym tonem. – Z tymi zwierzakami, które dotychczas mi pokazywałeś, nie potrafię nawiązać żadnego kontaktu. Wszystkie wydają się takie... nieżyczliwe i złe.

Joe przedtem zaprowadził Sophie do boksów dwóch owczarków niemieckich i jednego mieszańca boksera z rottweilerem. Pozostałe czworonogi zajmujące resztę boksów były za małe, za stare albo zbyt łagodne.

– Obejrzyjmy je jeszcze raz – zaproponował.

– Nie.

– Sophie, bądź rozsądna. Mamy kupić psa obronnego, a nie rozleniwionego łązęgę. Jeśli chcesz, możemy pojechać do jakiejś hodowli.

Poszukiwania psa rozpoczęli od schronisk dla zwierząt, gdyż Sophie uznała, że wzięcie do domu bezdomnego psa będzie gestem bardziej humanitarnym. Joe nie mógł protestować, bo wyszedłby na nieczułego faceta, a tego sobie wcale nie życzył.

Lady jechała w tylnej części furgonetki pod opuszczoną plandeką, gdyż Sophie obawiała się, że zdezorientowana suka może wyskoczyć z poruszającego się samochodu.

Joe był przekonany, że ociężałe zwierzę nie zrobiłoby tego nawet wówczas, gdyby furgonetka stanęła w ogniu, ale nie zamierzał się sprzeczać.

Gdy tylko znaleźli się na podjeździe, Sophie szybko wysiadła i z dzieckiem na ręku pobiegła do domu. Była to pora karmienia.

Za każdym razem gdy Iris zaczynała domagać się matczynego pokarmu, Joe odruchowo spoglądał na piersi Sophie. Robił to coraz częściej. Stanowczo zbyt często.

Jak to możliwe, aby tak bardzo podniecał go widok karmiącej kobiety? Czy Sophie zdawała sobie z tego sprawę? Czy zauważyła, że wtedy, kiedy przykłada Iris do piersi, on zawsze usadawia się w pobliżu, z gazetą starannie rozłożoną na kolanach?

Wszystko to zaczynało być bardzo żenujące.

Piekielnie krępujące.

Stojąc przy furgonetce, Joe zastanawiał się nad własnym, zdumiewającym postępowaniem. Co chwila odruchowo spoglądał w stronę frontowych drzwi. Był w pogotowiu. Nadstawiał ucha, w razie gdyby Sophie go potrzebowała.

Musiał wyciągnąć sukę spod plandeki. Mieszaniec łypnął tylko na sznur z pętlą, który Joe przerzucił sobie przez ramię, i zaparł się łapami w podłogę.

– No, chodź, ty stary, zapchlony kundlu. Nie bój się, nie jestem hyclem. Przywiążę cię do słupka. Musisz być na uwięzi, dopóki nie wykombinuję ci prowizorycznego wybiegu.

Sophie ochrzciła sukę dumnym imieniem Lady. Śmiechu warte! Joe nazwałby ją Łazęgą. Za szopą znalazł kłębek zardzewiałego drutu i kilka na wpół zbutwiałych palików. Od razu zabrał się do roboty.

Przed powrotem do Teksasu postanowił zbudować ogrodzenie wokół całego terenu. Było to zajęcie na kilka dni. Dwa pierwsze będą potrzebne na przekonanie Sophie co do konieczności takiego zabezpieczenia, a pozostałe – na jego wykonanie. Przez ten czas Łazęga musi mieć jakiś wybieg, bo w przeciwnym razie trzeba by zamknąć ją w szopie lub trzymać na uwięzi. Pies obronny musi biegać swobodnie po terenie, którego strzeże.

Pies obronny? Śmiechu warte!

Na szczęście, wkrótce w domu zostanie zainstalowany nowoczesny, pierwszorzędny system przeciwwłamaniowy, wraz z nowymi zamkami w drzwiach i ryglami w oknach. Żaden system nie jest całkowicie niezawodny, ale ten, który wybrał Joe, powinien dobrze spełniać swoją rolę. A on sam będzie mógł z czystym sumieniem wracać do domu.

Gdy przyszła do niego Sophie i oświadczyła, że lunch jest gotowy, daleko było do końca roboty. Joemu udało się złamać trzonek łopaty, a także pokaleczyć dwa palce u rąk i uszkodzić sobie stopę. Dorobił się również guza na czole. Od słupka, który przewracając się zniecka, uderzył go w głowę.

Był to dopiero początek.

Joe rzucił okiem w stronę suki. Zobaczył, że zdołała przegryźć gruby sznur, którym była przywiązana, i przeniosła się w dogodniejsze dla niej miejsce. Spała smacznie, rozwalona na ziemi w oświetlonym promieniami słońca miejscu. Może nie jest tak beznadziejnie głupia, na jaką wygląda, pomyślał Joe.

– Jak widzę, prawdziwa z ciebie „złota rączka” – zażartowała Sophie, obejrawszy nadzwyczaj mizerne wyniki pracy Joego.

Spojrzał na nią z wyrzutem, podparł ręką plecy i z trudem się wyprostował. Sophie kpiła z niego. Uznał to za dobry znak. Może nie będzie protestowała, gdy powie jej o ogrodzeniu.

– Umiem zmienić koło i zaprogramować magnetowid – oświadczył skromnie.

Ubrudzoną ręką otarł pot z czoła. Gdy niechcący dotknął guza, skrzywił się z bólu.

– Ja też. Poza tym potrafię zrobić mrożoną herbatę, podać bekon, sałatę, ser i kanapki z pomidorem. Interesuje cię coś z tego zestawu?

– Tak – przyznał Joe. – Wszystko. Pozwól jednak, że najpierw trochę się obmyję.

Doszedł za Sophie aż do tylnych drzwi domu. Przez cały czas patrzył, jak podniecająco porusza biodrami, łudząc się, że go w ten sposób kokietuje, co, oczywiście, było nieprawdą.

Zatrzymał się przed wejściem. Podskakując na jednej nodze, ściągnął zabłocony but. Bolało go nie tylko kontuzjowane kolano, lecz także stopa. Zamiast wbić łopatę w ziemię, trafił jej ostrzem we własną nogę.

– Uderzyłeś się? – spytała Sophie, bacznie obserwując ruchy Joego.

Stała w drzwiach domu. Rozpogodzona i spokojna. W czystej kretonowej sukience w słonecznikowy wzór wyglądała nadzwyczaj apetycznie.

– Nie – warknął Joe.

– Wymocz ją w gorącej wodzie z dodatkiem specjalnej soli.

– To drobiazg, nie ma się czym przejmować – odburknął.

– A jak sobie poradzisz, jeśli stopa ci spuchnie i nie będziesz w stanie włożyć buta?

– Nic mi nie jest. Uderzyłem się w nogę tą piekielną łopatą. To wszystko.

– Jesteś głodny?

– Tak – przyznał Joe.

Było mu wstyd własnego gburowatego zachowania się. Odkąd zamieszkał z dziadkami, już jako dziecku bez przerwy wkładali mu do głowy, że w stosunku do kobiet należy zachowywać się kulturalnie i z szacunkiem. Do licha, musiał być grzeczny nawet w stosunku do własnych sióstr!

Nie układało mu się od samego rana. Najpierw zasnął po bezsennej nocy, gdyż usiłował sobie wyobrazić, jak zachowałaby się Sophie, gdyby znów znalazł się w jej sypialni. Gdy tylko zwłókł się z łóżka, przyjechała ekipa monterów i zabrała się do zakładania systemu alarmowego. Sophie od razu

zaczęła protestować, musiał więc pozbyć się jej z domu. I to szybko, żeby nie zdążyła narozrabiać. Pod pretekstem umówionego spotkania z hodowcą psów niemal siłą wsadził ją wraz z dzieckiem do furgonetki i ruszyli w drogę.

Potem woził Sophie po całej okolicy, z hodowli do hodowli, aż wreszcie znalazła psa, który spełniał jej oczekiwania.

W końcu nauczył się, jak postępować z tą kobietą. Należało być równocześnie twardym i przebiegłym. Przemawianie do jej rozsądku nie dawało absolutnie żadnych rezultatów.

– Złamałeś łopatę na własnej nodze? – spytała z niewinną miną. – Przecież to musiało boleć!

Joe rzucił jej ponure spojrzenie. Ze wszystkich policyjnych sprawnościowych testów, jakim kiedykolwiek był poddawany, zawsze wychodził zwycięsko. Był najlepszy. Szybciej niż inni potrafił z zawiązanymi oczyma rozładować służbowy pistolet, wyczyścić go, z powrotem złożyć i załadować. Przez dwa lata pracował nawet w oddziale specjalnym saperów.

Kiedy jednak miał do czynienia z młotkiem, gwoździami lub ręczną piłką, stawał się zupełnie bezradny. Winił za to domowe wychowanie. Od dziecka zawsze był otoczony służbą, która robiła za niego wszystko. Sam kroił sobie tylko mięso na talerzu.

Kuśtykając na nie obutej nodze, wszedł do domu i umył się w zlewie. Potem z entuzjazmem zabrał się za jedzenie.

Zjadał właśnie z apetytem drugą kanapkę, gdy nagle przypomniał sobie o psie.

– Och, do licha, trzeba znów przywiązać Włóczęgę – powiedział.

Z westchnieniem podniósł się z krzesła i pokuśtykał w stronę drzwi. Sophie ruszyła za nim.

– Lady nigdzie nie ucieknie – oświadczyła z pełnym przekonaniem.

Rzeczywiście, tłusta suka leżała na ganku. Powoli podniosła łeb.

– Chyba jest wciąż głodna – uznała Sophie. – Zaraz przygotuję dla niej drugą miskę jedzenia.

– Przecież zjadła bardzo dużo – przypomniał Joe. – Powinna pozbyć się dobrych paru kilogramów, nie mówiąc o pchłach.

– To nie jej wina, że była zaniedbywana. Zaraz ją wykąpię.

Zapadał zmrok, gdy Sophie poszła obejrzeć wybieg, który Joe z takim trudem przygotował dla psa.

– No i jak ci się podoba? – zapytał, niezwykle dumny ze swego dzieła.

Wybieg zrobiony był okropnie nieudolnie. Na jego widok Sophie miała ochotę parsknąć śmiechem. Joe wbił trzy słupki, każdy pod innym kątem. Granice wybiegu stanowiły ponadto dwa drzewa i róg szopy. Żadnego gwoźdźca nie udało mu się wbić do końca. Wszystkie były pogięte.

– Będzie jeszcze potrzebne posłanie – oświadczyła, pomijając milczeniem pytanie Joego.

– Przyturlam tu z szopy starą beczkę i wrzucę do niej trochę igliwia – zaofiarował się Joe.

Sophie myślała raczej o posłaniu ze starego koca, położonego w kącie kuchni. Uznała jednak, że poczeka z tym do wyjazdu Joego. Dzięki psu będzie wtedy mniej samotna.

Wieczorem Joe, pólżywy ze zmęczenia, opadł ciężko na kuchenne krzesło. Bolały go wszystkie kości. Sophie napełniła miskę ciepłą wodą i poleciła mu moczyć w soli bolącą stopę.

– Jak na mężczyznę w sile wieku, jesteś w kiepskiej formie – oświadczyła, podwijając mu nogawkę džinsów. Usiadła na podłodze obok miski.

Wyjaśnił, że nie każdy w Teksasie spędza życie na końskim grzbiecie, uganiając się po bezkresnych polach.

– Wobec tego dlaczego nosisz kowbojskie buty?

– To nie są kowbojskie buty.

– Mają wysokie obcasy i wąskie czubki.

– Wcale nie mają wysokich obcasów.

– Czemu nie wkładasz normalnego obuwia? Przebywając poza miastem, większość mężczyzn nosi sportowe buty. Tenisówki, trampki, adidas lub...

– Nie jestem taki jak większość mężczyzn! – ostro zaprotestował Joe, rozeźlony tą bezsensowną rozmową.

Sophie podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– To fakt. Nie jesteś – przyznała.

Z westchnieniem podniosła się z podłogi. Poczła nagłe zniechęcenie.

W nocy znów zaczęło padać. Sophie wstała, chcąc pozamykać okna. Żeby oszczędzać energię elektryczną, na noc wyłączała klimatyzację i orzeźwiający, chłodnym powietrzem przewietrzała cały dom.

W kuchni natknęła się na Joego. Szukał czegoś na półce, gdzie trzymała różne tabletki.

– Boli mnie głowa – mruknął.

– Pewnie to z powodu tego guza.

Miał na sobie koszulę i białe bokserki. Mimo to Sophie znów na jego widok poczuła przypływ pożądania.

– Suka śpi jak zabita – oświadczył skrzywiony. – Przed chwilą to sprawdzałem. Kiedy się pojawiłem, nawet nie drgnęła. Świetny z niej stróż – dodał z przekąsem.

– Miałam kiedyś psa – miękkiem głosem odezwała się Sophie. – Maleńką Lady. Bardzo ją kochałam. Kiedy zabierano mnie do domu dziecka, musiałam

z nią się rozstać. Powiedziano mi, że będzie zaadoptowana, ale pewnie od razu skończyła marnie.

A więc to wyjaśniało stosunek Sophie do tego psa, pomyślał Joe.

– Chcesz, żebym wracał do siebie na górę? – zapytał. Spojrzał na Sophie.

W odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami.

– Chcę być przy tobie – powiedział po chwili głosem szorstkim od emocji. – Chciałbym mieć cię bardzo blisko, ale oboje wiemy, że to nie jest możliwe.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

To nie jest możliwe, Sophie powtórzyła w myśli. Mimo to jednak już coś się stało. I to zupełnie nagle, gdy przed chwilą znajdowali się obok siebie, stojąc boso na kuchennej podłodze, a zimne, wilgotne powietrze wdierało się przez otwarte okno, chłodząc rozgrzaną skórę.

Sophie pomyślała, że gdyby Joe dotknął jej, zamiast tylko się przyglądać, doznanie byłoby równie silne. Podświadomie wstrzymała oddech.

– Ja też chcę, żebyś był przy mnie – szepnęła zdławionym głosem. – Tylko tej nocy.

– Tylko tej nocy – potwierdził szybko, lecz w jego słowach wyczuła nutę żalu.

Objął Sophie w pasie i przez hol poprowadził do jej sypialni.

Cieszyła się, że odniosła Iris do dzieciennego pokoju. Będą teraz oboje z Joem zupełnie sami. Jak mąż i żona. Wydawało się jej, że znają się od bardzo dawna. Że od lat są parą kochanków. W jakimś sensie było to prawdą.

Sophie była także świadoma ogromnej straty, jaką miała ponieść. Wiedziała, że szczęście było tuż, tuż. Dosięgał jej żar uczucia i pochłaniał bez reszty. Chwilę potem ogarniała ją jednak zupełna ciemność. Zostawała absolutnie sama, z bolesną pustką w sercu.

Zatrzymali się przed łóżkiem.

Tak jak poprzednim razem, Joe uniósł kołdrę, a ona wsunęła się na chłodne pościelenie.

Żadne z nich się nie rozebrało. Co stałoby się, gdyby to zrobili? Co? zastanawiała się Sophie i nie potrafiła udzielić sobie odpowiedzi.

Na intymne zbliżenie było zbyt wcześnie.

A zarazem za późno...

Tak jak poprzednim razem, leżała na prawym boku. Joe ułożył się tuż za jej plecami, przywierając do niej całym ciałem. Jedną ręką otoczył ramiona Sophie, w drugą ujął nadgarstek. Miała zwyczaj sypiać na boku, z podsuniętą pod brodę zaciśniętą piąstką.

Czuła, jak oddech Joego porusza jej włosy. Wdychała zapach leżącego obok ciała. Mieszanicę ziołowego mydła i jeszcze czegoś. Specyficznego dla Joego męskiego aromatu. Drażniącego zmysły.

W sprawach seksu Sophie miała niewielkie doświadczenie. W jej życiu było tylko dwóch mężczyzn. Rafe i chłopak, z którym przed laty była krótko zaręczona. W tej chwili czuła się tak, jakby nigdy przedtem nie miała do czynienia z żadnym mężczyzną. Wszystko, co dotyczyło Joego, było zupełnie nowe. I jak nigdy podniecające.

Poruszył się lekko.

– Śpisz? – zapytał szeptem.

– Nie. A ty?

On też nie spał. Nie musiała o to pytać. Coraz wyraźniej czuła narastające w nim podniecenie, słyszała przyspieszony oddech i silne bicie serca.

Zamiast odpowiedzieć, niżej przesunął rękę, która obejmowała jej ramiona. Szeroko rozpostartymi palcami ujął pierś.

Sophie cicho jęknęła.

– Zabolalo? – zapytał z niepokojem.

Z wrażenia nie potrafiła wymówić ani słowa. Pokręciła jedynie głową. Zastanawiała się, czy to, co się z nią dzieje, jest wyłącznie sprawą rozszalałych hormonów. I czy reagowałaby identycznie, gdyby, tak jak Joe, dotykał jej teraz jakiś inny mężczyzna.

Zastanawiała się nad różnicą reakcji występującą u mężczyzn i u kobiet w odpowiedzi na zmysłowe bodźce. Ciało mężczyzny reagowało szybko i

bezpośrednio, podczas gdy kobiecie podniecało się z opóźnieniem, gdyż najpierw, na długo przedtem, do głosu dochodziła reakcja serca.

Sophie zdawała sobie sprawę, że to rozróżnienie nie jest do końca prawdą. Ani jej serce, ani ciało nigdy z tak ogromnym entuzjazmem nie reagowało na obecność żadnego mężczyzny.

Joe był kimś nadzwyczajnym. Czuła instynktownie, że oboje są sobie przeznaczeni.

Zaraz potem dochodzący do głosu rozsądek przekonywał ją, że nigdy nie będą razem.

Jako karmiąca matka nie powinna reagować zmysłowo na widok mężczyzny, a jednak tak właśnie się działo. Nigdy w życiu Sophie nie czuła się tak pobudzona seksualnie jak w tej chwili.

Seksualną obojętność młodych matek potwierdzali nie tylko liczni eksperci, lecz także mężowie tych kobiet, którzy z reguły uskarżali się na ich oziębłość i skupienie zainteresowania wyłącznie na urodzonym dziecku.

Czy oznaczało to, że nie jest normalną matką? Była nadpobudliwa seksualnie? A może tylko zdesperowana?

Istniała jeszcze jedna możliwość. Pobudzała ją bliska obecność Joego. Pragnęła korzystać z tego, co przynosi każdy dzień, jako że nie miała przed sobą pewnej przyszłości.

Sophie jęknęła, gdy palce Joego musnęły delikatnie koniuszek piersi. Od pieścizot, które zaraz potem nastąpiły, jej ciało przeszyły dreszcze.

Joe zaczął wargami drażnić skórę na karku. Znow zadrżała. Przez cienką bawełnianą koszulę męska ręka aż parzyła jej ciało.

Był rozpalony i fizycznie podniecony, a mimo to pieścił ją czule i delikatnie.

Zauważał potrzeby jej ciała i starał się im sprostać. Przesunął powoli dłoń na od niedawna płaski brzuch i szeroko rozpostarł palce.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa – wyszeptał.

– Nie powinnam tego odczuwać.

– Czego, Sophie? Czego?

– Przecież świetnie wiesz... – Zamilkła, gdyż dłonie Joego ruszyły w dalszą wędrówkę po jej ciele.

– Tak. Czuję to samo.

– To szaleństwo. Nic takiego nie powinno się wydarzyć.

– Nie powinno.

Nie odrywając się od Sophie, Joe wprowadził swoje ciało w rytmiczny ruch, instynktownie dążąc do takiego samego rozładowania, jakie było jej tak bardzo potrzebne. I które nie powinno się wydarzyć.

Chyba że...

Zdobyła się na odwagę.

– Joe, sądzisz, że moglibyśmy...

Nie odpowiedział. Jego ręka odnalazła najwrażliwszy zakątek ciała Sophie.

Nie wolno mi, nie wolno, desperacko broniła się w myślach przed chwilą rozkoszy.

Zanim zdołała zmobilizować siły obronne, było po wszystkim.

Wstrząśnięta głębokością przeżycia, krzyknęła głośno. Było to cudowne odczucie, lecz Sophie zapragnęła czegoś więcej. Chciała, aby zespolili ciała. Żeby Joe stał się jej częścią.

– Sophie, Sophie – szeptał, tuląc ją mocno do siebie. Ściągnął z niej nocną koszulę. – Pozwól, że przez chwilę potrzymam cię w objęciach. Mogę?

Był nagi. Czują go każdym nerwem własnego ciała. Odwróciła się i ujęła w dłonie to, co przed chwilą dawało jej znać, jak bardzo jest pożądana, i co doprowadzało ją do zmysłowego szaleństwa.

– Nie musisz...

– Pozwól mi, proszę...

Pozwolił. Przeląła na niego całą swą miłość. Ofiarowała rozkosz, odprężenie i ukojenie...

Potem leżeli w milczeniu, przytuleni do siebie.

Sophie wiedziała, że Joe nie zasnął. Myślała o tym, co nastąpi jutro, i o przyszłych nocach. Czy też będą wspólnie dzielić łóżko?

Zastanawiała się, czy Joe zostanie z nią dopóty, dopóki nie będą mogli kochać się naprawdę. Zaraz potem jednak uznała, że to, co robili dzisiejszej nocy, też jest kochaniem. W jedyny możliwy sposób i bez żadnych słów. Sama nigdy nie potrafiła dobrze skrywać swoich uczuć. Nigdy nie poczuła się tak jak dziś.

Jednego była do końca pewna. Że są stworzeni wyłącznie dla siebie i powinni zawsze być razem.

Tylko dlaczego los sprawił, że Joe żył w Teksasie, a ona mieszkała w Północnej Karolinie?

Gdy otworzyła oczy następnym razem, w pokoju było zupełnie jasno. Usłyszawszy od strony holu głośny krzyk Iris, usiadła i spuściła nogi z łóżka.

Joe mruknął coś przez sen. W tym momencie zadzwonił telefon.

– Och, nie znoszę tak wczesnych rozmów – mruknęła Sophie. Spojrzała na Joego. – Śpij.

– Ja odbiorę – zaproponował. Usiadł na łóżku i ziewnął.

Sophie odnalazła szlafrok. Wkładała go w pośpiechu, idąc do holu.

– Na pewno do mnie. Powiedz, że potem oddzwonię – rzuciła przez ramię. – Jeśli od razu nie nakarmię Iris, zdenerwuje się i nałyka zbyt dużo powietrza.

Będąc już w holu usłyszała, że Joe rozmawia z kimś przez telefon.

– Kto dzwoni? – zawołała przez drzwi.

Może ten okropny człowiek, który poprzednio do niej telefonował? Ten sam, który włamał się do domu?

Po chwili przypomniała sobie, że wraz ze współpracowniczką siedzi w areszcie, więc nie jest w stanie więcej jej nękać. Sophie wydawało się, że Joe odłożył słuchawkę, ale zaraz potem znów usłyszała jego głos.

– Joe? – zawołała, biorąc Iris na rękę.

Chwilę później stanął w drzwiach dzieciennego pokoju. Miał dziwny wyraz twarzy. Od razu poznała, że stało się coś złego.

– Muszę wyjechać – oznajmił krótko.

Sophie nabrała głęboko powietrza.

– Dobrze.

Na inne słowa nie było jej stać. Cóż zresztą mogłaby powiedzieć? Na szczęście, wykazała tyle opanowania, że nie padła przed Joem na kolana i nie błagała, żeby został. Aby porzucił rodzinę i wszystko, co łączyło go z Teksasem, i wraz z nią rozpoczął nowe życie.

Delikatnie odstawiała Iris od piersi i przełożyła małą na drugą rękę. Karmiła dalej, nie licząc się dłużej z obecnością Joego. Nie miało to już żadnego znaczenia.

Wpatrując się w nią, stał jak wryty.

– Słyszałaś, co powiedziałem? – zapytał. – Muszę wracać do domu.

– Słyszałam – odparła obojętnym tonem. – W jaki sposób mogę ci pomóc? Zaraz skończę karmić dziecko. Przewinę je i przyjdę pomóc ci w pakowaniu. Zrobię też kilka kanapek na drogę...

– Możesz odwieźć mnie na lotnisko. Jeśli dotrę tam o jedenastej dwadzieścia, uda mi się jeszcze złapać bezpośredni samolot do Dallas. W domu będę o dwunastej czterdzieści pięć czasu teksańskiego.

W oczach Sophie Joe dojrzał zaskoczenie i jakiś żal, ale nie mógł teraz nią się zajmować.

– Babka Emma jest w szpitalu – oznajmił. – Upadła i złamała biodro. W jej wieku to poważna sprawa. Od czasu wylewu, który miała zeszłej zimy, ciągle jest w depresji. Resztę opowiem ci w drodze na lotnisko. Muszę zaraz wziąć prysznic i spakować się.

Mycie zajęło Joemu cztery minuty, pakowanie trwało jeszcze krócej. Dwukrotnie zaciął się przy goleniu i uraził chore kolano, uderzywszy nogą o ramę łóżka przy zbyt pospiesznym wkładaniu butów.

Na lotnisko pojechali zdezelowanym wozem Sophie, gdyż nie chciała wracać potem z dzieckiem, sama prowadząc furgonetkę. Joe mógł zostawić swój samochód na płatnym parkingu, ale pomyślał, że ustawiony na widocznym miejscu w pobliżu domu Sophie będzie stanowił dodatkowe zabezpieczenie przed intruzami. Nie udało mu się załatwić wszystkiego; co zaplanował. Teren nie został ogrodzony. Nie potrafił namówić Sophie na telefon komórkowy. A tak zwany pies obronny był łagodnym, leniwym stworzeniem.

Machinalnie odpowiadał Sophie na pytania, ale myślami był już przy babce. Bardzo się o nią martwił. Już raz czy dwa było z nią bardzo źle. Modlił się, aby i tym razem wyszła cało z opresji.

No i pozostawała jeszcze Sophie. Przez cały czas Joe miał przed oczyma obraz karmiącej matki. Z dzieckiem przy piersi, z głową otoczoną aureolą z promieni słońca, wyglądała nieziemsko pięknie i podniecająco.

Dopiero wsiadając do samochodu, przypomniał sobie o nefrytowych skarbach. O chińskiej kolekcji, z powodu której przyjechał tu z drugiego końca kraju. Szybko zawrócił po nią do domu. Sophie śmiała się z gapiostwa Joego, ale był to śmiech przez łzy. Żałowała jego czy drogocennych nefrytowych przedmiotów? Gdyby nie postanowił, że za wszelką cenę odszuka matrymonialnego oszusta, nigdy nie przyjechałby w te okolice. I pewnie nigdy nie poznałby Sophie Bayard. Nie dowiedziała by się także, jakie to uczucie, gdy jest się ojcem, choćby nawet przyszywanym i na krótko.

– Sophie – zaczął niepewnym głosem – któregoś dnia oświadczy ci się jakiś facet. Jeśli będzie przyzwoity, pomyśl o małżeństwie. Potrzebujesz mężczyzny, który o ciebie się zatroszczy.

– Sama potrafię o siebie zadbać.

– Iris przyda się ojciec.

Z tym stwierdzeniem nie mogła polemizować. Skinęła głową.

Na lotnisku Joe oświadczył, że gdy tylko babka poczuje się lepiej, on odbierze swoją furgonetkę. Pożegnał się, udając, że nie widzi żalostnej miny Sophie, a potem stanął w kolejce do kasy.

– Proszę jeden bilet pierwszej klasy do Dallas, lotnisko Fort Worth – powiedział do siedzącej za ladą dziewczyny.

Zadzwoił późnym wieczorem. Sophie zerwała się z łóżka i jak szalona biegła do telefonu, po drodze przysięgając sobie, że założy w sypialni dodatkowy aparat lub kupi telefon komórkowy, na co namawiał ją Joe. Podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Zapomniałem o różnicy czasu. Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

Rozmawiali o babce Emmie. O tym, jak długo pozostanie w szpitalu i co zorganizował Joe, żeby ułatwić jej powrót do domu. O nowym kandydacie na męża Daisy, wdowcu z dwoma małymi synkami. Potem Joe zapytał o Iris i psa. Sophie przyznała się, że Lady sypia w kuchni, a w dzień najczęściej urzęduje pośrodku pokoju.

– Tylko nie potknij się o nią – ostrzegł ją Joe. Później na linii zapanowała krępująca cisza.

– Mam zadzwonić? – po chwili zapytał Joe.

– Tak. Oczywiście. Chcę wiedzieć, co z twoją babką.

– Pytała o ciebie i Iris.

Uśmiechnęli się oboje. Pożegnali, a Joe przyrzekł, że następnym razem zatelefonuje o sensowniejszej porze.

Siedem tygodni później zadzwonił z lotniska w Dallas, oznajmiając swój przylot. Poprosił, żeby Sophie przyjechała po niego do Greensboro.

Czekała ładnie ubrana i uczesana. Rzucił na ziemię torbę i wraz z Iris wziął ją w ramiona, a ona na przemian śmiała się i płakała. Niemowlę głośnym wrzaskiem oznajmiło swoje niezadowolenie.

– Przepraszam, panno Tłuscioszko – powiedział Joe. – Nie chciałem cię udusić.

Pod wieczór dojechali do domu. Joe zabrał się do sprawdzania nowych zamków. Sophie włożyła do piecyka słodkie ziemniaki i nastawiła fasolkę. Przez cały czas była podniecona. Świadoma bliskiej obecności Joego, który bez przerwy wodził za nią pożądlwym wzrokiem.

Po kolacji, zmyciu naczyń, nakarmieniu Iris i ułożeniu jej do snu, a także wygonieniu Lady przed dom, mieli wreszcie trochę czasu dla siebie.

– Ciągle myślałem o tobie – wyznał Joe. – Bez przerwy cię pragnąłem.

– Och! – radośnie wykrzyknęła Sophie. Po chwili znalazła się w jego ramionach.

– Twoje kolano – przypomniała sobie. Odsunęła się od Joego.

– Martwi cię moje chore kolano? – zdziwił się. – Uważasz, że mam defekt genetyczny? I że nasze dzieci odziedziczą identyczną niesprawność?

– Nie, głuptasie – odparła Sophie ze śmiechem. I nagle dotarły do niej jego słowa. – Nasze dzieci?

– Nie jestem staruszką. Mogę przecież założyć rodzinę.

– Naprawdę tego chcesz? Nie boisz się?

– Nie.

– Możesz tego dowieść? – Uśmiechnęła się tym swoim słodkim, leniwym uśmiechem, który oczarował go, gdy po raz pierwszy ją ujrzał. Brudną i ciężarną. – Chyba że jesteś zbyt zmęczony – dodała po chwili.

Istnieją wyzwania, którym prawdziwy mężczyzna zawsze musi sprostać. Takie wyzwanie stanowiła Sophie. Od samego początku, ale on był zbyt tępy, by wcześniej się zorientować. Dopiero babka Emma uświadomiła wnukowi, czego do szczęścia mu potrzeba. To ona posłała Joego na wschód, żeby przywiózł Sophie i Iris do Teksasu.

– Zbyt zmęczony? – powtórzył.

Popchnął Sophie na łóżko. Pociągnęła go za sobą. Sprawnie rozpięła mu koszulę i rozluźniła pasek. Zanim jej zręczne palce odnalazły suwak w dzinsach, z wrażenia Joe trząśł się jak galareta

– Zwolnij, słonko – poprosił. – Przed nami cała noc.

– Nie chcę zwalniać. Masz pojęcie, jak długo musiałam czekać na tę chwilę?

Na to pytanie nawet nie próbował odpowiedzieć. Zaczęli się całować i pieścić. Wkrótce stali się jednością.

Sophie jest kwintesencją kobiecości, pomyślał Joe. Jego kobietą. Chciał jej to powiedzieć, lecz nie znajdował słów. Pieścili się jak szaleni. Śmiejąc się i płacząc, dotarli do upragnionego celu.

Parę chwil później od strony holu dobiegł ich znajomy wrzask. Rozśmieszyło to Sophie.

– Tym razem nie za wcześnie. Akurat w porę.

Uniosła się na łóżku.

– Zostań – zaproponował Joe. – Pozwól mi przynieść tu dziecko.

Przez chwilę protestowała, lecz zaraz potem z czułością spojrzała mu w oczy i powiedziała z rozmarzeniem:

– Och, tak...

Oznaczało to niewiele, lecz zarazem wszystko. Po chwili zjawili się oboje. Małeńka Iris w potężnych ramionach Joego, który szeptał jej do uszka:

– Twoja prababcia pokocha cię, malutka.

EPILOG

– Trochę bardziej w lewo – nie znoszącym sprzeciwu głosem zarządziła siwowłosa, drobna dama. – O, tak. Teraz jest lepiej. Powieś resztę pończoch z prezentami i idź po ozdoby. Joe zniósł ze strychu pudełko. Muszę szybko ubrać choinkę. Lada chwila zjawi się Daisy ze swoją rodziną i od razu zaczną się wymądrzać i szarogęścić. Nie znoszę kobiet apodyktycznych, narzucających innym swoją wolę. – Przez chwilę babka Emma mruzczała coś pod nosem o obrazie boskiej.

Sophie z trudem ukryła uśmiech i poszła spełnić prośbę, a właściwie rozkaz starej damy. Nikt nigdy nie ośmielał się jej przeciwstawić. Zachowywała się jak bezlitosny dyktator. Rządziła wszystkimi. Jedyne wyjątkiem stanowiła mała Iris. Pięciomiesięczny niemowlak zawojował prababcie, która go uwielbiała.

Joe natknął się w drzwiach na wybiegającą z pokoju Sophie.

– Wolniej, wolniej. Do świąt pozostały jeszcze trzy dni.

– Zaraz zjawi się tu Daisy. Babka Emma boi się, że zechce po swojemu ubrać choinkę.

Rozbawiony Joe wziął żonę w objęcia.

– Od lat obie toczą o to zawzięty spór – wyjaśnił ze śmiechem. – Teraz, gdy Daisy ma męża i dwóch pasierbów, może będzie mniej uparta i babka Emma łatwiej z nią sobie poradzi.

Joe zburzył palcami starannie ułożoną fryzurę Sophie. Ogromnie starała się wyglądać na żonę odnoszącego sukcesy biznesmena, ale wszystkie jej wysiłki szły na marne. Joe uwielbiał przypominać żonie, jak wyglądała, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Rozciągnięta na ziemi, gruba jak wieloryb, w ostatnich minutach ciąży.

– Dzwoniła Donna – poinformowała Joego.

Językiem drażnił wewnętrzną stronę lewego ucha Sophie, co wprawiało ją w miłe podniecenie.

– No i co?

– Przywiezie do nas kogoś absolutnie wyjątkowego, żebyśmy mogli go poznać.

– Jeszcze jeden – mruknął Joe. – Biedna Donna. Ciągłe ma nadzieję.

Pod wpływem pieszczot Joego Sophie traciła wątek.

– Co z ogrodem? – spytała, zmieniając temat na bardziej przyziemny.

– Właśnie sfinalizowałem umowę na zakup kawałka gruntu na północ od miasta. Niedługo będziesz miała tyle ziemi na swój ogród, ile ci się zamarzy. Na każdej grządce możemy zakopać jeden nefrytowy skarb, a potem zobaczyć, co wykiełkuje.

– Joe, nie mogę się skupić, gdy robisz takie rzeczy! – jęknęła Sophie.

– A co ja robię? – zapytał z niewinną miną.

Westchnęła i poddała się pocałunkom męża. Bez przerwy zdumiewało ją to, jak bardzo zmieniło się jej życie. I to z powodu postawnego, byłego gliniarza i kilku kawałków zielonego, rzeźbionego kamienia.

– Masz wolną chwilę? – zapytał Joe. – Muszę się spotkać z przedsiębiorcą budowlanym, ale dopiero za pół godziny.

Pozwalał sobie teraz na tak odważne pieszczoty, jakich nie przystało robić pośrodku głównego holu, gdzie niespodziewanie każdy mógł ich zobaczyć.

– Nie, nie mam ani chwili czasu. Jeśli się nie pośpieszę, babka Emma zacznie stukać laską w podłogę.

– Niech stuka. Dobrze jej zrobi takie ćwiczenie.

– Joe, jesteś człowiekiem bez serca.

Sophie z lubością otarła się o męża. Uwielbiała, gdy był tak blisko. Ostatnio odkryła w sobie nową umiejętność, z której była bardzo dumna i którą z dnia na dzień starała się doprowadzić do perfekcji. Umiejętnością tą było podniecanie męża. Do ostatnich granic.

– Tak, słonko, jestem – przyznał z uśmiechem. – Na twoje szczęście kradzież serca nie jest w Teksasie uznawana za przestępstwo.

RS